

Wiktor Westerplatozyk

Archiwum Wschodnie 105
Majster Wiestaw Krasnodębski
1986 r.

Nazywam się Wiktor Białous Bielas, westerplatozyk, ż knierz AK, podporucznik Kotwica. Urodziłem się 30 stycznia 1916 roku w majątku Kwiatkowie, gmina Sobotniki, powiat Lida, województwo nowogródzkie. Pochodzę z rodziny szlachty zaściankowej jak po ojcu tak i po matce Pradziadek mój Jerzy Bielas przybył na teren Wileńszczyzny w roku 1861 jako podchorąży wojsk polskich do tworzenia oddziałów partyzanckich do powstania styczniowego. Na Wileńszczyźnie przybrał nazwisko Białous, ażeby bardziej odpowiadać tamtejszej ludności, która dosyć jest skryta i mogła mieć obawy, że inne nazwisko. Zamieszkał w folwarku Łuszczyki u państwa Łuszczyk wskich. Tam zapoznał ich córkę Zofię, która była lekarzem. Ożenił się z nią po krótkim czasie. Później zabrał ją do lasu, do xkt siebie do partyzantki jako lekarza w swoim oddziale. Otrzymał stopień kapitana i był dowódcą batalionu. Z tym batalionem walczył przede wszystkim w okolicach Oszmiańszczyzny, aż do roku 1864, przebywając przeważnie w Puszczy Halibo Oklej. Często był osaczany przez Moskali, trudności miał, często zmniejszała się liczba jego żołnierzy, ale zawsze liczył na to, że uda się przeciągnąć walkę. W ostatnim okresie to jest we wrześniu 1864 przybył do miejscowości szlacheckiej Krywula w pobliżu Olszan i stamtąd odesłał swoją żonę Zofię do folwarku Łuszczyki, aby tam urodziła dziecko, bo już była w poważnym stanie. Jednak szpiegzy Moskali dowiedzieli się, że przebywa oddział Biakousa w lasach koło Krywuli. Zostali okrążeni przez wojsko Moskali pod ~~przód~~ dowództwem Jaguinowa który był kolaborantem czyli targowiczanem. Posiadał on majątek w Holszanach, do którego po r z biciu tego oddziału przywiózł mojego dziadka wraz z jego podkomendnymi i po długim badaniu i znechęcaniu się kazał żywcem zamur wać w bramie wjazdowej w lewej wnóce na stojco. Natomiast po pewnym okresie, p nieważ dowiedzieli się że żona Biakousa rodzi dziecko, w Łuszczykach, wysłał tam Kozaków, którzy zarębali Zofię na kółku leżącą po urodzeniu dziecka. Dziecko na szczie pozostało u służby i dlatego przetrwało. Folwark został skonfisko

ny i przyłączony do dużego majątku Łuszczyki, którego właścicielem był także kolaborant targowiczany. Kolasińscy zabrali tego małego chłopca Jerzego Białousa Bielasa i wychowywali u siebie. Przed samą pierwszą wojną światową wzięli w dzierżawę majątek Kwiatkowce od hrabiego Umiaszowskiego. Tam dorósł i ożenił się z Narbuttówną. Z tego małżeństwa urodził się mój ojciec w roku 1894 Józef. Mój ojciec także wychowywał się u pp. Kolasińskich do osiągnięcia pełnej letności. Następnie ożenił się z Michaliną Stefanowicz Kulnis, która pochodziła z rodu także samo szlachty zaciankowej, ponieważ jej matka Maria urodzona była w majątku Stara Ładowszczyzna położonego koło Werenowa o obszarze ponad 300 hektarów. Lecz w latach powstania styczniowego jej rodzice zginęli w powstaniu, a ona jako małe dziecko musiała składać przysięgę dla Moskali, że jej ród nigdy nie podejmie ręki na Moskali. I dlatego utrzymał się ten majątek. Dorosła i otrzymała wykształcenie jako nauczycielka i po pewnym czasie mając 25 lat została wysłana do nauczania dzieci w Ryndziunach koło Dziwinierek. A tam powrócił z wojny japońskiej porucznik Kulnis armii rosyjskiej. Zapoznał ją, ponieważ z tej wsi także pochodził i ożenił się. Z tego właśnie małżeństwa urodziła się moja matka Michalina. Rodzice moi byli rolnikami. Posiadali co prawda swoje gospodarstwo Łuszczyki po ojcu lecz nie mogli tam gospodarować, gdyż jeszcze wówczas był władcą ten duży majątek Łuszczyki. Ojciec mój sędził się do ostatnich lat przed drugą wojną światową i dopiero wysądził ten folwark o obszarze 38 hektarów, nie był duży. A przeważnie chodził po dzierżawie, to znaczy wynajmował dzierżawę na kilkanaście lat i po prostu uprawiał rolnictwo, ponieważ bardzo je lubił. W roku 1920 wstąpił do Legionów Polskich i walczył w 76 pułku tzw. lidzki, gdzie został ranny w klatkę piersiową i w głowę i z tego powodu został zwolniony do domu. Natomiast w latach późniejszych ojciec brał większe zacianki w dzierżawę, przede wszystkim tam, gdzie były młyny. Miał zamknięte nie do młynów wodnych, a to najbardziej było wówczas opłacalne w

naszych stronach. Ja miałem u rodziców wychowanie tak pod względem religijnym jak patriotycznym bardzo dobre. Często wieczorami opowiadano mi o różnych walkach dawnych, o bohaterach, co we mnie wpajało miłość do Ojczyzny. Co prawda rodzice często posługiwali się językiem białoruskim w domu, ale to tak przypadkowo między sobą, ale przeważnie używali polskiego. On odbiegał od dzisiejszego polskiego, trochę był językiem może bardziej ludowym, regionalnym można do nazwać i nie bardzo odpowiadał dzisiejszemu. Przeważnie wszyscy tamtejsi ludzie na naszym terenie używali białoruskiego na co dzień, a jednak czytali w książeczkach do nabożeństwa po polsku, pacieryze odmawiali w języku polskim. Uważali się przede wszystkim za Polaków. Rzadkie były okazy ludzi, którzy mieli prawosławną wiarę i nie czuli się Polakami, a urągali przeciwko tej ludności, która czuła się polską. Szkołę podstawową rozpocząłem w Sobotnikach w roku 1923 i w 30-tym roku ukończyłem 7 oddziałów tej szkoły. Wówczas jeden rok miałem kursa dokształcające i po tym rodzice zażądali żebym był księdzem i odesłali mnie do seminarium duchownego i księży pijarów w Lidzie. Tam ukończyłem dwa lata tej szkoły. To było niższe seminarium duchowne. Jednak zrezygnowałem, nie chciałem być księdzem. Rodzice na to przez złość skierowali mnie do szkoły rolniczej, przysposobienia rolniczego, koło Lidy w Berdówce, gdzie ukończyłem jednoroczną szkołę rolniczą i zostałem wysłany na praktykę. Wysłano mnie do Trasianowa majątku Tabełskich. Tam akurat przeprowadzali meliorację pod egidą inżyniera Marchalewicza, który namówił mnie, żebym porzucił praktykę w majątku, a przeszedł do niego jako nadzorca melioracyjny. Właśnie tak zrobiłem, ponieważ tu był nieporównanie większy zarobek. Jako praktykant otrzymywałem tylko 25 zł miesięcznie i całe utrzymanie, natomiast tam miałem 90 zł i 60 rozjazdowe. W jesieni zostałem skierowany do technikum w szkole rolniczej na Holenderni w Wilnie i zostałem przyjęty już do trzeciej klasy/zaliczone mi rolnictwo jak również seminarium duchowne/, a to była czteroklasowa szkoła.

Technikum wodno-melioracyjne. A ponieważ w tym okresie bardzo interesowałem się wojskiem, lubiłem wojsko, a więc na początku wstąpiłem do harcerstwa, byłem w 13 Wile^ńskiej, gdzie zdobyłem pierwsze swoje sprawności jak również stopień orlego młodzieńcowy. Ale w tym czasie bardziej czuć się chciałem żołnierzem i zapisałem się do Strzelca. Ukończyłem tam dwa stopnie pw, a równocześnie ubiegałem się o przyjęcie mnie do szkoły małaletnich w Koninie, lecz nie miałem możliwości zawsze byłem jakoś na ostatku, był nadmiar zgłaszających się i nie mogłem się dostać. Napisałem więc prośbę do 77 Pułku Piechoty Strzelców Kowieńskich w Lidzie o przyjęcie mnie na ochotnika do odbycia czynnej służby. W roku 1945³ zostałem powołany do tegoż Pułku, jak dziś pamiętam 2 maja, a 3 maja złożyłem przysięgę, ponieważ tym, którzy posiadali dwa stopnie pw okres rekrucki zaliczano. Odbyłem tam wstępne ćwiczenia poligonowe, następnie manewry jesienne i po tym zostałem skierowany do szkoły małaletnich w Koninie. Nie miałem jeszcze wówczas matury, bo przerwałem naukę w technikum wodno-melioracyjnym, więc musiałem pojechać do tej szkoły w Koninie. Tam przebywałem dwa lata i zostałem z powrotem skierowany już jako kapral do macierzystego mojego 77 Pułku w Lidzie. Tam podpisałem umowę na 12 lat zawodowego i pełniłem jak drużynowy w 2 kompanii ciężkich karabinów maszynowych 2 batalionu tegoż pułku. Około roku 1939, na początku, bodaj w kwietniu zostałem wezwany przez mojego dowódcę porucznik Jarockiego do siebie i zobowiązał mnie, że muszę skończyć szkołę, którą rozpocząłem, to znaczy technikum, jako eksternista. Udzielono mi urlopu na kwiecień, maj i czerwiec, ale nie miałem prawa jechać do domu tylko przebywać w koszarach. Moim nauczycielem na co dzień był porucznik Jarocki i kapitan Szawłowski dowódca tegoż batalionu który z zawodu był inżynierem, a więc pomagał mi rozwiązywać różne zadania poligonowe i inne, aby przygotować mnie do egzaminu jako eksternisty. W czerwcu do tej samej szkoły wojsko się zwróciło o przyjęcie mnie na egzamin jako eksternistę i wybrał się ze mną po-

rusznik Jarocki. Egzamin złożyłem z wynikiem niezbyt dobrym, trójeczką ogólny wynik, ale przebrnąłem i otrzymałem świadectwo dojrzałości. Niestety nie mogłem już pójść w jesieni do podchorążówki w tymże Pułku, bo 20 lipca zostałem wezwany z ćwiczeń polowych, natychmiast stawić u dowódcy kompanii. Dowódca kompanii w bardzo miły sposób do mnie zwrócił się i powiedział - siadajcie/u nas była dyscyplina inna jak obecnie i u dowódcy nie siadało się/, wysyłam was na bardzo zaszczytne miejsce, was będzie przyglądał się cały świat, a więc pamiętaj mój synu, bo tak mnie często nazywał, ażebyś nigdy nie splamił naszego polskiego munduru. A teraz zdej ubranie i broń, dostaniesz inne i na placu apelowym spotkamy się. Otrzymałem nowy mundur saperski tzw., który świeżo wchodził w użycie w wojsku, ze spinaczami na dole, tylko bagnet u boku, szlufkami zasunąć stopień wojskowy i przynależność pułkową, żeby nie było widać. W takich ubraniach 14-tu nas było wybrańców z całego pułku, nigdy nie było z jednej kompanii dwóch, tylko po jednym, tak widocznie kierowali się dowódcy. Zostaliśmy ustawieni na placu apelowym i cała warta stanęła pod bronią, a warta staje pod broń wówczas, kiedy coś ważnego się odbywa. Czy pułkownik dowodzi całym pułkiem wyjeżdżając na jakieś ćwiczenia, to wtenczas warta pod broń staje. Przybył pułkownik, stanął na wyższym jakimś stółku, my w szeregu, a za nami dowódcy kompanii i prawie trzymał rękę na ramieniu. W ten sposób pytano nas każdego z żołnierzy o imię nazwisko, stopień, czy był karany, jakie posiada wykształcenie i jakie zna języki. Pułkownik po wysłuchaniu każdego z nas powiedział bardzo wyraźnie podniosłym głosem - my was wybraliśmy jako lepszych/co nam bardzo pochlebiało/, wysyłamy was na bardzo zaszczytną placówkę i pamiętajcie że będzie na was cały świat patrzył i abyście nigdy nie splamili munduru polskiego. Odprowadzono nas bardzo ładnie do dworca. Dworzec był położony ok. kilometra, nasze walizki wieziono na furmankach konnych, natomiast oficerowie dowódcy pułku prawie pod rękę nas odprowadzali na dworzec. Dlaczego? Jak

później się zorientowałem, na Westerplatte nie wysyłano nigdy żołnierzy, tylko kawalerów. Otóż tam była przewidziana walka krótka, wiedzieli że przecież zostanie ta walka ułożona i wszyscy zginą. Wysłaliśmy byli prawie na śmierć. I z tego powodu takie było piękne pożegnanie. Może i dlatego podkreślało się, że na was będzie cały świat patrzył. Przecież ten skrawek ziemi p. Kołomy obok Nowego Portu nad Zatoką Gdańską i rzeczywiście tą zatoką przepływały różne okręty, a przede wszystkim jeżeli żołnierz stał na posterunku nr 3, to każdy mógł z okrętu go widzieć. Niezależnie od tego i Niemcy przyglądali się temu wojsku. A więc nie było łatwe służenie na Westerplatte. Nawet wysunięcie się poza mur wysokości ok. 3 m i wystawienie głowy, jeżeli zdjęcie Niemiec zrobił żołnierzowi, to była wielka nagana. Można było podpatrywać Niemców, lecz nie dać sobie zrobić zdjęć. Zakładomani zostaliśmy do pociągu, pożegnaliśmy się z oficerami tak jakby to nie w wojsku i odjechaliśmy. Przyjechaliśmy następnego dnia do Gdyni, kład nas zakrytymi samochodami ciężarowymi, bo tu muszę powiedzieć, że przybyło nas nie tylko 14-tu z 77 Pułku Piechoty, ale aż 66, bo z całej 19 Dywizji Piechoty Wileńskiej, a więc z Pułk 85, 86, i z Pułku Karbutta tzw. Łódzkiego 76. Szczęściu przybyło z 14 PAL-u Artylerii z Bialegostoku. A więc 72 osoby. Przymierzono nas trzema samochodami pod płótnem schowanymi do Redłowa, wówczas to nazywali Gdynia-Orłowo, tam były koszary 2 Batalionu Strzelców Morskich, gdzie nas zakwaterowano. W "Wietlicy, oddalony trochę dalej od koszar budyneczku. Tam zostały ułożone sienniki i tam na podłodze leżeliśmy, nie mając żadnej broni i żadnego zadania. Kiedy był alarm tegoż batalionu, wszyscy normalnie spali. Nas nikt nie budził, nie wolno nam było nigdzie wychodzić, ni na miasto. Nie wiedzieliśmy czego my oczekujemy, dokąd nas mają stamtąd przenieść. Pewnego dnia przybył cywil do nas, zebrał nas w koszarowym dziedzińcu zamkniętym caworobekiem budynków koszarowych, kazał wszystkie okna poramykać, warta chodziła z tegoż batalionu i jeżeli jakiś żołnierz wyglądał

oknem, kazano zamknąć natychmiast, żeby nie przyskuchiwał się. Nas ustawiono w szereg i cywil powiedział/był w brązowym garniturze, krępy, średniego wzrostu/ - może was sdziwi, drodzy koledzy, że przed wami staje cywil, ale jestem ~~major~~ majorem, moje nazwisko Sucharski. Jestem dowódcą tej placówki, na którą prędko wyjedziecie. Ci, których odczytam, proszę by przechodzili do tych otwartych drzwi, gdzie na stołach porozkładane są walizki. Brać walizki, przebierać się w ubrania, jakie będą w tych walizkach. Powinniście dopasowywać na siebie według wzrostu i rozmiaru a nie patrzeć na dystynkcje. Dystynkcji proszę nie zmieniać. Na kogo jaki mundur trafi, taki będzie, nawet mój kto nałoży mundur, tak samo będzie w tym mundurze jechał. Do tych walizek ktoś prędko załadował jakieś ciężkie przedmioty, że walił kę było trudno unieść w ręku. Jak później się dowiedziałem to były granaty, naboje, części do karabinów maszynowych itd - uzbrojenie. Poszliśmy wszyscy za tym cywilem, on szedł przed nami ok. 100 metrów, nie oglądał się i prowadził nas na dziką plażę tam, gdzie był zakotwiczony holownik. Na ten holownik dowieziono nas łódką, a tylko zostało wybranych dwudziestokilku. Otóż Westerplatte, zgodnie z przepisami prawa, wolno było przebywać tam 82 żołnierzom. Natomiast tam zostały rozbudowane punkty obronne, takie jak 6 wartowni obronnych i przedpola jak Mikołajewa tak i promu, placówki promu, gdzie trzeba było obsadzić żołnierzami. Ale wyjechać w większą ilość, zawsze mogło wyjechać tych 24, ażeby nie wzbudzić czujności u Niemców, że tam większa liczba, bo przecież muszą inni być na służbie, na posterunkach, a więc kto może wyjechać na taki spacer do Gdyni co niedziela. Major Sucharski w tamtym okresie poprzedzającym zatrudnił 28 cywilów, przeważnie podoficerów wojska polskiego będących w rezerwie. Oni pracowali jako szewcy, krawcy, stolarze, świnioпасы, bo mieliśmy świnie, konia i krowy utrzymywaliśmy w gospodarstwie Mikołajew, reszta kucharze, pomocnicy itd. Oni w swoje mundury ubierali się podoficerskie, jechali jakoby z załogi tej 82 żołnierzy na spacer do Gdyni co nie-

dziele, a stamtąd wracali w cywilnych ubraniach posiadając dokument Wolnego Miasta Gdańska, Tezewa itd jako cywile pracujący na Westerplatte. Bo ci cywile codziennie wracali do swoich domów gdzie mieszkali, a rano przyjeżdżali na Westerplatte i to nie było wcale podejrzane. Natomiast my zbliżaliśmy się holownikiem, bo ja jechałem 7 sierpnia. Zostaliśmy uprzedzeni przez majora Sucharskiego, który jechał po cywilnemu z nami. Uprzedził nas, że mamy udawać, że Westerplatte znamy. Wchodzimy, nie rozglądać się, tylko normalnie iść. Udawać, że te walizki są bardzo lekkie, ponieważ zawsze dobiegał holnik do przystani, której już dzisiaj nie ma, bo tam jest wybudowany pomnik ten duży. Tam zawsze po lewej stronie, tuż za ogrodzeniem, około 2 metry od przystani stał szepo milicjant Wolnego Miasta Gdańska, który liczył rano, może nie ten, rano inny stał na pewno, liczył ilość wychodzących, a teraz wchodzących. Zawsze ta ilość się zgadzała. Po przyjeździe na Westerplatte, tegoż dnia dostaliśmy wypoczynek, a następnego dnia zaczęto nam już fałszować inne ubranie, broń i zapoznać z terenem. Kazano nam rozebrać się do koszul lub pozostać tylko w spodniach wojskowych i wpać saperkach na nogach, dostaliśmy kosi do ręki i szliśmy chwasty kosić, a jeden z podoficierów tamtejszy który był już od marca lub może wcześniej na Westerplatte znał dokładnie teren i jego sieć alarmową, informował nas. Stał, patrzył na nas, mówił, wróćcie się w tamtą stronę. My odwracaliśmy się, jakoby ostrzyć kosi i patrzyliśmy na te punkty. Przystaliśmy na posterunku nr 3, z którym zapoznałem się. Było to w ten sposób. Stało kilka tablic z napisem Palenisko surowo wbronione, ale nie były jak 15-20 cm nad ziemią, była dźwignia mała, którą bardzo trudno było dostrzec w trawie. Tam żołnierz chcąc wezwać patrol do siebie czy wartę pomocniczą, zasłarnować wartę swoją, pochodził tylko i tyłem stojąc obcasem naciskał na dźwignię, a już w danej wartowni, do której on należał, światełko zabłyśnięcie w aparacie informującym

na jakim to posterunku i już było wiadomo, że ktoś wysła patrol, wartę. I patrol zaraz wyruszał. Na Westerplatte była wszędzie sieć alarmowa. W każdym punkcie, w każdym pomieszczeniu, czy to piwnice czy ubikacja, wszędzie był dzwonek alarmowy. W razie alarmu całe Westerplatte było w dzwonkach. Żołnierz na Westerplatte nie miał prawa rozbierać się do snu i nie miał prawa broni wkładać do kosza czy zawieszac w wieszakach łóżka. Musiał spać w butach, w ubraniu, tylko wolno mu było haczyk odpiąć od kołnierza i jeden guzik rozpiąć w mundurze przy szyi, pas mógł o dwie dziurki zwolnić, a kałownica naśl była przy pasie. I karabin jak narzeczona pod kocem, załadowana i zabezpieczona. Obowiązkiem żołnierza na Westerplatte było stanąć w czasie alarmu na swoje miejsce wyznaczone przy apelu wieczornym w jedną minutę. Trudna to była służba. Po pewnym czasie, muszę przyznać, napisałem do Jareckiego z prośbą o zabranie mnie. Byłem naiwny nie wiedziałem, że jak wysłany to już koniec. Ale otrzymałem od niego list, że bądź spokojny chłopie, prędko tam się spotkamy wszyscy. Taki list otrzymałem tuż tuż przed wybuchem wojny. 25 sierpnia w godzinach przedpołudniowych wpłynął do naszego kanału odprowadzany przez dwa holistyczne wielki krążownik szkolny Schleswig-Holstein, który miał 24 dział, po dwa działka na dziobie i lufie bardzo wielkiego kalibru na owe czasy, bo 280 mm. Inne działka miały różne średnice różne były, nawet przeciwlotnicze i te używane były później walce na Westerplatte. Ten szkolny jakoby okręt szkolił oficerów niemieckich. Z Kłajpedy otrzymałem rozkaz przybycia na Westerplatte natychmiast, w drodze na pełnym morzu wsiadł na swój pokład ponad 1900 szumarynów/jak nas wtedy informowano/-worskich strzelców. Natomiast od naszych władz polskich otrzymałem pozwolenie/ponieważ Polacy reprezentowali na szmątrz Wolne Miasto Gdańsk/ wpłynąć do kanału portowego dla uczczenia swoich poległych w roku 1914. Oczywiście rzecz Polacy w takim wypadku nie mieli możliwości odmówienia. Lęk przywit Chodakowski bodajże, wiceminister chyba, kurtuazyjnie przywitł, a

tylko stali na tym okręcie marynarze i ich dowódcy. Natomiast strzelcy morscy byli skryci pod pokładem. Ten sam ustawik w późniejszym okresie na swoim pokładzie przyrządy pomiarowe tak jak teodolity, które wydziernyły kuty poszczególne naszych punktów obrony widocznych. Nie mogło mu Westerplatte zabronić, gdyż stał na wodach Wolnego Miasta Gdańska. Ten okręt został zakotwiczony przed kossarami prawie. Odyżwał zastępnego dnia trochę dalej. Wesoło dnia 25 sierpnia w nocy, o godzinie popołudniowych wyjechał samolot z adyżmionym pasażerem Rikestrop do Mołotowa do Moskwy podpisanie umowy rozbioru Polski. O tym zostaliśmy poinformowani, co nas bardzo zgorzyszyło i nabraliśmy pewnego respektu, ponieważ z swoim wrogiem bezziemy mieli do czynienia. Jak wiadomo Niemcy mieli uderzyć na Polkę, od razu rano 26 sierpnia. Ale mieli obawy po jakiej stronie znajda się Szwedzi. Na Westerplatte Niemcy nastakowali 1 września o godz. 4,45 od Nowego Portu natarcie em Prued tym przygotowanie artyleryjskie z okrętu Schleswig-Hollstein położyli na całe Westerplatte. Bardzo dużo śląstwa zrućili. Z drzew tylko kikuty pozostały, a to był piękny park. Kilka naszych domów porozbijali, przeważnie stare kossary ucierpiały, nowe cokolwiek i wartownia także. I wtenczas ruszyło pierwsze natarcie godz. 4,45 rano. Akurat tej nocy nie miałem przydziału służbowego, spałem w kossarach, zostałem strzałem obudzony artyleryjskim. Zerwałem się, zbiegłem do holu, było nas ok. 5-ciu, których zabrakło pod swoje dowództwo porucznik Pająk i przeprowadził nas drogą skrytą tylko od wroga nie od kulk kul, to znaczy krakiesz o placówkę Prom, gdzie właśnie brałem czynny udział. Pierwsze momenty, zauważyłem jak Niemcy nacierali. Depuścili szturm przede wszystkim ci strzelcy morscy przygotowani dobrze do walki. Mieli na sobie plecaki z białego płótna, po dwa granaty z długim trzonkiem i granaty fajkowe w torbie także z białego płótna. To nam dawało bardzo dobre osłone, ponieważ oni mieli mundury

ciemne, a na tym białe płócienne torby, więc z daleka było bardzo dobrze widać. Zresztą nie bardzo daleko, bo myśmy ich dopuszczali na odległość 30-40 m i wówczas otwieraliśmy silny ogień, najczęściej krzyżowy i mało ich wychodziło. Przeszkadzało im jeszcze to, że major Sucharski nocą polecił zrobić potykacze na szerokości ok. 50 m z drutu kolczastego. Wyglądało to tak, że wbijano paliki ^{20 cm} nad poziom terenu, wykorzystane wszystkie drzewa i drut kładziony na paliki, a reszta zawijane za drzewa i wychodziła sieć o niedużych oczkach różnych kształtów. Naciarający wpadał i nie mógł buta wyciągnąć, męwał się, a przecież był dobrym celem na nasz strzał. Zarosło to trawą tak, że Niemcy nie wiedzieli, że to są potykacze i śmiało tam pchali się. Prawie nikt nie wracał stamtąd. Jeżeli tylko kilku żołnierzy czasami już bez broni wycofywało się, podskakując, udając rannych, chociaż to było niehumanitarnie, ale musieliśmy po nich kłaść ogień i ich likwidować, ponieważ mogli zidentyfikować nasze punkty obrony. Gdyby w naszym kierunku szli, podnosili ręce do góry, oczywiście byśmy ich jako jeńców przyjmowali. I takie natarcia były wielokrotne, ale nie udawało się Niemcom zdobyć ani kawałka ziemi tu od strony Nowego Portu. Trzeba powiedzieć, że placówka ta broniona się nie tylko od strony Nowego Portu. Dookoła. Ponieważ było 6 wartowni, a więc krzyżowy był ogień wszystkich wartowni, każda wzajemnie wspierała się ogniem ciężkich karabinów maszynowych. Nieależnie od tego były poszczególne placówki jeszcze terenowe, które ostrzeliwały Niemców przy każdym poruszeniu się. Jeżeli Niemcy od strony kanału chcieli przepłynąć to byli likwidowani, albo od strony Zatoki Gdańskiej żadna łódź przybić do brzegu naszego nie mogła. Niemcy jedynie mieli dobre pole do natarcia od Nowego Portu. A tutaj miejsca tego bronili 23 żołnierzy. pod dowództwem porucznika Pajaka. Na Westerplatte było ogółem 182 wraz z dowództwem i 28 cywilów, którzy zostali ubrani w mundury wojskowe, a więc zwiększyli stan do 210 żołnierzy. Oficjalny stan był przewidziany tylko 82 żołnierzy. Jeszcze muszę

tu zaznaczyć, że broń była ustalona. Na Westerplatte nie wolno było trzymać innej broni jak broń przyboczną żołnierzy jako kompanii wartowniczej - bagnet, karabin, szable i pistolety. Innej broni bojowej trzymać nie wolno było. Ta broń została przemycona. Major Sucharski założył gospodarstwo rolne - winie, hodował, krowę, konia. Trzeba było dla nich sprowadzić paszę z Polski centralnej, pociągami. Więc załadowano na wagony siano, słomę, a do tego rozebrane na części karabiny maszynowe. Ich przybyło na Westerplatte aż 43 sztuki, w tym były ciężkie i lekkie karabiny maszynowe i rkm-y. I były 4 moździerze przemycone, 2 działka przeciwpancerne i jedno działko 75 mm stare rosyjskie na drewnianych kołach przerobione na amunicję polską. To działko mało skuteczne było, ponieważ w pierwszym dniu trafiła bomba w nie i zostało zniszczone doszczętnie. A te dwa działka przeciwpancerne były sprawne do ostatniej chwili. W pierwszym dniu walki nasze moździerze również ostrzeliwały Nowy Port jak i zakanal i Niemcy trochę mieli respektu. A od początku osłaniała nas artyleria dalekomorska z Helu. Niemcy nie tylko respekt czuli ale lęk, bo chociaż nasza grupa była mała, natomiast Niemcy mieli w swoim zgrupowaniu ogólnym, nie wszyscy oczywiście rzecz mówiąc, ale jednak brali udział, zmiana była szybsza u nich, po każdym odwróceniu już ci żołnierze nie brali udziału, tylko inni, a więc było ponad 10 000. Nękali Westerplatte bez przerwy i kiedy jakiegokolwiek natarcie ruszyło z stało odparte. Co prawda ucierpiało Westerplatte bardzo od bomb i wania. Niemcy dopuścili do walki ponad 40 samolotów bombowych, które bez przerwy na ten mały skrawek ziemi, to jest 60 morgów rzucało bomby. Szczyście, że żołnierzy niedużo zginęło, bo tylko 15-tu, a 16-tego sierżanta Rasińskiego Egiercy powiesili dopiero 12 września trzymając go w niewoli za to, że nie zdradził tajemnicy jak należy postąpić się szyframi, ponieważ on był dowódcą placówki łącznościwej i posiadał te szyfry. Niedużo zginęło dzięki temu, że Westerplatte dookoła się bronilo, a więc było rozproszone. Placówka Fron,

bronią na której byłem, bronika się do ok. dziny 12-tej na przedpolu. Natomiast później, kiedy Niemcy rozpoczęli ostrzeliwanie tego odcinka z ciężkiego kalibru na razie przeciwfortecznych dział i moździerzy 210mm to to ryło ogromne jamy, a później ostrzeliwali ten sam odcinek nie robiąc żadnej przerwy, z pocisków szrapneli ten które dolatując nad ziemię rozpryskiwały się i raziły bardzo wiele. Muszę powiedzieć, że każdy prawie westerplateczek został ranny. Ja zostałem czterokrotnie ranny, ale w pierwszym dniu otrzymałem tylko jeden postrzał prawej nogi powyżej kolana. Kula nie przeszła na wyl pozostała mi w kości i do dnia dzisiejszego ją trzymam. Do godz. 12-jak powiedziałem, trzymaliśmy się na przedpolu. Po tych szrapnelach porucznik Pajak zarządził wycofanie się na placówkę nr 1 to znaczy na wartownię nr 1. Tam mieliśmy dalszy opór stawiać. I tak się stał Zameldowałem o niewypale leżącym przy moim ston wisku. Por. Pajak dobiegł do mnie, zobaczył dwa pociski leżące jeden przede mną, drugi mną, zaryto w ziemię, błyszczące, długie, ogromne, myślałem że może na czas, loku nabrałem, że wybuchną po pewnym czasie. Por. Pajak powiedział - chłopie, natychmiast wycofuj się na wartownię nr 1. Wycofał się do wielkiego dołu wyrwanego przez artylerię, tam już było kilku żołnierzy z placówki Prom wycofanych i tam właśnie spojrzałem na Nowy Port i na bramę nr 2, od której Niemcy szarżowali natarciem. Nasi żołnierze stracili na ten moment chęć do walki. I ja wtedy leżałem z karabin maszynowy bez żadnej podstawy, on co prawda mało skuteczny ale na boku trzymając zacząłem strzelać, a ponieważ mieliśmy pocisk zapalający którymi można było jako tako kierować, już na cel nie patrzyłem ale samymi pociskami. Ponieważ jestem kaemista, więc jedną taśmę i drugą wypuściłem w tym momencie i Niemcy jakoby powstrzymały się. Co prawda z drugiego odcinka od strony magazynów ostrzeliwał kapral Szablewski z rkm-u czyli nasze ognie prawie się krzyżowały przy bramie nr 2. W tym momencie posłyszałem słaby jęklivy krzyk za sobą. Porucznik Pajak dochodził do tego samego dołu ciężko ranny. Dostał

w kr k, wyrwane wszystkie mięśnie, bryczesy od kroku wisiły prawie na butach, mocno okrwawiony. Akcentem kieleckim zwrócił się do nas -chłopcy, chłopcy, ciąga mnie, ciąga mnie. Skoczyłem pierwszy, za mną kolega kapral Ziary, wzięliśmy porucznika Pajaka pod rękę i poprowadziliśmy do wartowni nr 1. Wartownia już była zabarykadowana. Drzwi przeciwkulkowe zamknięte i jeszcze obłożone od środka workami z piaskiem. Nie było już można dostać się. Zaczęliśmy mocno stukać. W tym momencie tak strzały padały, że rozbijały się niektóre o te stalowe drzwi. A mój karabin, który trzymałem na szyi na pasie, kolba odbiła lufy z muszką nie było, tak że był niezdolny już do użytku. Gazmask była całkowicie postrzelana, a jednak jakoś mnie nie tknęła żadna kulka. To ciekawe. Biegając na stację wisko na placówkę Fron, przebiegałem koło starych koszar, koło kaplicy naszej, gdzie co niedziela była nasza świąta. Tam był ołtarz Matki Bożej Częstochowskiej, Ukłękłem i przeżegnałem się różańcem, który mi matka dała i ofiarowałem się Matce Bożej w te słowa - zachowaj mi Matko Boża życie, a będę cię służył do końca mego życia. I przez to jestem dzisiaj miłośnikiem Matki Bożej, wierzyicielem dla niej i bardzo mi jeszcze później pomogła w moim dalszym życiu. W wartowni nr 1 broniliśmy wszystkich okien. Okna były pozakładane workami z piaskiem. Kurzu było tak dużo, że żołnierz nie widział jednego drugiego. I wtenczas zobaczyłem jednego żołnierza, który wpadł w szok. Nazywał się Herbał, pochodził z Liwi. Został zaszokowany jakimś lękiem ogromnym i bardzo płakał. Pamiętam że do podziemi się schował, tam gdzie były ciężkie karabiny maszynowe jego tam powstrzymywano, nie wiem w jaki sposób, bo też ostrzeliwał okno. Niemców zabijałem ok. 30 m od wartowni. Ta placówka prawie cała się wycofała. Jedynie Zięba po drodze został ciężko ranny w czaszkę z lewej strony, widziałem wielki pęknięcie mózgu. Zostawiłem go, biegłem z porucznikiem Pajakiem, bo myślałem że jest całkowicie zabity. Ale później kiedy już byłem w wartowni, ostrzeliwałem z okna i widziałem

tego leżącego rannego, który zaczął czołgać się w kierunku wartowni. I wtenczas dopiero poszliśmy mu pomoc i przenieśliśmy go do wartowni. Nie przeżył, bo został później w koszarach jeszcze raz trafiony pociskiem, który przeszedł przez jego wnętrzności poniżej klatki piersiowej. Pochowaliśmy go w dole powstałym z uderzenia pocisku artyleryjskiego przy koszarach. Położyliśmy pod niego jeden siennik a drugi przykryliśmy i obrzuciliśmy go gruzem. Jednak rano jak wstaliśmy sienniki były na dźmewach, na dachu i jego ciało porwane było całkowicie ponieważ artyleria ostrzeliwała i jakiś pocisk trafił w to same miejsce. Tak, że był to człowiek naprawdę nieszczęśliwy. Wiele było takich różnych momentów. Jeden moment upamiętnił mi się. Później ja i ranny zostałem przesłani do koszar, tych zbranych, nowych koszar tzw., gdzie byłem na razie w wartowni nr 6, a później jako celowniczy przy karabinie maszynowym przy drzwiach garażu, pod koszarami. W kierunku morza, czyli osłaniać miałem wartownię nr 4. Major Sucharski powiedział mi, obudził mnie i kazał mi iść, dał mi do pomocy sanitariusza, poszukać Krzaka zabitego lub rannego. Wyruszyłem, był przedświt, chociaż sam byłem ranny, trochę utykałem na prawą nogę, wraz z sanitariuszem odnalazłem go. Leżał Krzak zabity na forcie z roku 1911, bodaj i ja uważałem, że został zabity nie przez Niemców, według mnie ktoś za prędko rzucił granat w kierunku Zatoki Gdańskiej. Odłamki go przeszyły, gdyż leżał w kierunku nieprzyjaciela nogami, a zawsze jak pocisk czy odłamek się dostaje to się pada na pocisk, a nigdy w innym kierunku, a więc leżał na wznak, odłamek granatu trafił go w plecy i wyszedł przez klatkę piersiową, oderwał mu lewą czy prawą stronę szczęki i wyszedł na zewnątrz hełmu. Hełm był wygięty na zewnątrz a pasek nie był przerwany. Już był satywny. chciałem mu maskę zabrać, bo moja była postrzelana, ale nie mogłem, musiałem dopiero pasek rozciąć nożem. Pogrzebaliśmy go bardzo płytko, jakieś 50 cm przykrycia, nawet kolana wystawały i łokcie, nie było czasu, bo Niemcy ostrzeliwali i trzeba było się wycofać. W tym momencie, kiedy

wycofywałem się do koszar, nadleciał samolot, ostrzelał z broni pokładowej nas, a później rzucił bombę, nie bardzo ciężką, granaty czy bombę, bo nisko bardzo było. I mnie odłamek zranił w klatkę piersiową z lewej strony, dosyć ciężko. Leżeć nie mogłem, gdyż agonii żadnej nie miałem, gorączki nie miałem, otrzymałem zastrzyk przeciwtępcowy obandażowano mnie i dalej byłem celowniczym przy karabinie maszynowym osłaniającym wartownię nr 4. Długo trzeba by opisywać wszystkie walki, nudne by to było. Bo przecież Niemcy nacierali bez ustanku dzień i noc. Westerplatte broń było 6 nocy i 7 dni. Dopiero ⁷ wczesnym rano Niemcy przypuścili niespodziewany szturm, a już częściowo potykacze zostały zniszczone przez artylerię, więc były pola łatwiejsze do przekroczenia. Już nie było placówki From, a tylko wartownia nr 1 broniła się, już była rozbita wartownia nr 5, która nie mogła osłaniać wartowni nr 1, tak samo wartownia nr 2 nie mogła jej osłaniać, tak że wartownia nr 1 na przedpolu samotnie szamotała i broniła się. Była ciężka sytuacja. Ale jeszcze zostało natarcie niemieckie odparte. Major Sucharski zebrał ludzi, których miał w koszarach i powiedział - drodzy koleśy, nasze wojska polskie cofają się w kierunku Warszawy, nam już żadna odsiecz nie przyjdzie. Nie mamy potrzeby tracić swoich żołnierzy i czekać jakiegokolwiek odsieczy. Nie przyjdą też nam z pomocą ani Francuzi ani Anglicy. Będziemy musieli albo ginąć tutaj, albo żyć. Ale żyć, to nie wiadomo, może nas Niemcy rozstrzelają wziętych do niewoli, ale trudno możemy ryzykować. Bo żołnierz tylko ma że żywy się przydać Ojczyźnie, a już martwy dla nikogo nie będzie potrzebny. I tymi słowami zamknął nasze zebranie i wszyscy żołnierze, różne były głosy, niektórzy mówili - do ostanku walczyć, a wreszcie Westerplatte wysadzimy w powietrze, były takie wątpliwości bo miejsce to było zaminowane. Kilku żołnierzy płakało, oficerowie płakali, całowali się po ziemi i całowali ze sobą, że nie wiadomo co się stanie jak nas Niemcy wezmą.

Ale jednak decyzja zapadła, że poddany się. Major Sucharski wraz z Pietrowskim jeszcze żyjącym w tej chwili westerplatteczkiem, pochodzenia gdańskiego, który biegle mówił po niemiecku, jako tłumacz wybrał się i Dobies/?/ żołnierz jako trzeci, miał ich oskanić. Bez broni oczywiście oni poszli, z białą tylko chorągiewką, na stronę niemiecką. I wtedy spotkał ich pułkownik niemiecki, zerwał majorowi naraniennik, z kieszeniabrał mu dokumenty i papierośnicę srebrną /którą on otrzymał będąc nad Bugiem w Brześciu Litewskim, a stał w nagrodę z wojska/, przyprowadził do generała i powiada - panie generale, przyprowadziłem wziętego do niewoli dowódcę Westerplatte. Ale ten powiedział zaraz, żeby mu to przyszyto, przygotować go do postawienia się przed generałem. Naranienniki przyszyto, zwrócono rzeczy i dopiero major Sucharski przyszedł do generała. Generał powiedział panie majorze, proszę siadać. No i cóż, nasze natarcie poranne poskoczyło, panie majorze?, że przychodzicie już z prośbą o poddanie się kapitulację. A major Sucharski powiedział w te słowa: nie, panie generale, my wasze natarcie odparliśmy, ale mnie zmusza to, że głodują już nasz żołnierz na Westerplatte, żołnierz od siedmiu dni nie miał ciepłej strawy ani nawet herbaty, nie miał czasu się umyć, jest 99% rannych żołnierszy, nie mam żadnych leków, nie mam czym ich ratować, a przecież jestem odpowiedzialny za tego żołnierza i to mnie zmusza kapitulować. Została umowa podpisana z Niemcami i kapitulacja nastąpiła honorowa tak zwana. Majora wypuszczono z bronią białą przy bok ale nam kazano ręce podnieść do góry, założyć na kark, doprowadzono do kanału. Myśleliśmy, że tam nas będą rozstrzeliwać, ale niestety tam nakręcali film i żołnierze obchodzili się z nami dość dobrze. Traktowali nas herbatą, rumem, cukierkami, czekoladę nam dawali, nawet papierosy. Tylko że myśmy mieli już przeżen przez majora Sucharskiego wskazane - nie bądźcie dziadami, bądźcie żołnierzami polskimi honorowymi i rzadko który z nas cośkolwiek przyjmował. Chociaż chc:

żo się napić się i zjeść tej czek lady kawałek. Później nas prowadz w kierunku Biskupiej Górki pieszo, ale w prowadzeniu w kierunku na Nowy Port nie mogliśmy dalej iść, ponieważ na każdym zakręcie, przy każdej ulicy zbiegła się masa dzieci, które w niemieckim języku coś tam wykrzykiwały i na nas wskazywały palcami. Natomiast z okien, z chodników rzucono butelkami, garnkami, kamieniami w kierunku nas. Niemcy sami się zorientowali, że nas zlinčuje naród niemiecki będący w Gdańsku. Krzyk podnosili po polsku i po niemiecku - zabiliście mi brata, syna, męża itd. Taki był ogromny krzyk, co bardzo utrudniało nam marsz. Niemcy okrążyli, do nas stanęli plecami, a z bronią do nacierającego tłumu. Przeprowadzili nas kawałek, umieścili na takim placu i tam czekaliśmy na przybycie samochodów ciężarowych a raczej autobusów. Autobusami przewieziono nas do koszar niemieckich, zatrzymaliśmy się przed koszarami, żołnierze niemieccy pokazywali nam, że zostaniemy zastrzeleni, wyjmował bagnet z pochwy i pokazywał, że nam gardło zostanie ucięte. Jeszcze Szablewski, pamiętam, dostał cegłą ~~z koszar~~ od cywila, już siedząc w autobusie, bo było okno otwarte. Przywieziono nas na Biskupią Górkę. To były bunkry wybudowane z ceg w górach, nie miały okien tylko drzwi, wyglądały tak jak garaże. W tych dwóch garażach nas zatrzymano. Wchodząc tam, widziałem trzech cywilów mocno pobitych, prawie mało odychali ale byli żywi. Niemcy szybko ich wzięli i wynieśli. Okazało się, że to byli badani tutaj przed nami w tych garażach, pocztowcy. Widziałem obok na zakręcie, bo myśmy mieli nad urwiskiem z tej strony dwa garaże, a kawałek dalej się podeszło, z lewej strony znowuż był taki sam garaż pod tą górą i tam właśnie trzymani byli ci pocztowcy. Czysto spacerem wychodziłem w tym samym kierunku na róg i widziałem jak podjeżdżały samochody zabierały stamtąd ^{tych} cywilów, wywozili gdzieś i albo z jednym wracali, albo po następnych wracali. Przeważnie zabierali łazikami, tymi ~~z~~ małymi samochodami odkrytymi, po trzech po dwóch brali, ale niektórzy widziałem z powrotem przywozili bardzo mocno zbitych.

Żywnienie było tutaj niezłe, ponieważ przynoszona była zupa, na śniadanie dawano i ser topiony i holenderski czy jaki i kiełbasę dostawaliśmy czarną i zwykłą, marmoladę, margarynę tak, że nie byliśmy głodni. Zarządzili dla nas rano ćwiczenia. Musieliśmy wychodzić wszyscy na gimnastykę i śpiewać polskie piosenki, maszerować, w kółko, robić ruchy. To było dla nas bardzo potrzebne i rzeczywiście to Niemcy nam stosowali. Nas pilnowała jakaś stara organizacja, to znaczy wiekiem starzy z SA, w zielonych mundurach/oni mieli wyjściowe mundury brązowe/, natomiast to były bluzy letnie, spodnie bryczesy i getry i czapki wysokie francuskie. Stamtąd nas wyprowadzono później do pociągu, przywieziono pod Tczew. Ponieważ już na Wiśle nie było mostu, Polacy zerwali, przez Wisłę przeprawiliśmy się promem. Tam nas zaprowadzono znów na dworzec i przywieziono do miejscowości Klajdeksen położonej niedaleko Królewca w Prusach Wsch. W Klajdeksen przechodziliśmy kontrolę ścisłą, rewizję, odszawianie, to znaczy pranie naszych ubrań w piecach, tylko buty, pasy i czapki braliśmy ze sobą, w czapkach trzymaliśmy swoje rzeczy, a tak nago szliśmy przez koryt. Tam nas rewidowano, przeglądano i czasami kijem się dostawało po plecach jak szybko się nie szło. Major Sucharski był oddzielony od nas w innym baraku. Powiedział nam przez fryzjera, żebyśmy się rozbiegli nie przyznawali się w obozie, że byliśmy na Westerplatte, gdyż nas mają Niemcy utopić podobno. Ale nie nastąpiło to. Maszerowaliśmy pieszo z Klajdeksen ok. 7 km do Gerken. To majątek, na koniesynisku rozbito nam namioty i tam już w tych namiotach zimowaliśmy. To był stalag 1A. Opieka lekarska była słaba. Byliśmy uprzedzeni do Niemców a więc tylko ci co mieli agonię musieli być zabrani przez Niemców do szpitala niemieckiego. Natomiast myśmy leczyli się u siebie w nasze przychodni jeńców wojennych, którą prowadził nasz kapitan Szaby/??/ lekarz z Westerplatte. Kapitan Mieczysław Szaby. Ja na poranienie klatki piersiowej wydzieliną miażdżącą bardzo wielkie ropne. Miażdżącą

sączki pozakładane przez niego. Powiedział - chłopie, nie idź do szpitala do Niemców, bo nie wiadomo jak tam przeżyjesz. Tutaj może przeżyjesz bardziej. Latałem tam na szpitalce takiej małej u nas w tym lagrze pod opieką tego kapitana Mieczysława Szabego. W tym stajaku 1A chorowałem przez cały prawie rok. W roku 1942 na początku w styczniu już byłem zdrowy. Zastanawiałem się co ze sobą zrobić. W lagrze było oczywiście bardzo ciężko. Życie było słabe, brak jego było. Warunki były coraz gorsze, zawszawiony był lagier. No i nękan: przez Niemców. Dokonywało się w ten sposób, że codziennie do ówczes: rannych wypędzano i każdy dostawał kijem jak wychodził. Na śnieg, bez koczul. Po powrocie do baraków, zabieraliśmy sienniki i koce i znów trzeba było na podwórko wychodzić trzepać je. Znow kijem dos wał, jeżeli nie wychodził szybko. Ja mało dostawałem, bo byłem zwin: i uciekałem. Właśnie w styczniu 1942 roku w naszym obozie jeden Belg popełnił samobójstwo podżynając sobie gardło brzytwą, a Francu: powiesił się w innym rewirze. Bardzo mnie to zasmuciło. Nie tylko smuciłem się, co będzie ze mną w przyszłości, lecz jeszcze bardziej smuciło mnie to, że nie wiedziałem co jest z moimi rodzicami na ter: nie wschodnim. Wiedziałem, że są pod zaborem sowieckim. Dochodziły do nas również wiadomości ze strony niemieckiej, że wyw: żeni byli ludzie na Syberię. Wiedziałem, że mój ojciec był legionistą i mógł w każdej chwili być wywieziony z całą rodziną. A do tego koszarne miałem sny, które mi dokuczały, myślałem o nich cały następny dzień Pewnego wieczoru styczniowego wyszedłem sobie na spacer wokół bara ku, można było chodzić do godz. 10-tej. Był to mroźny wieczór, ale piękny księżycowy, jasny. Chciałem wtedy sprawdzić wróżbę taką, któ matka nauczyła mnie w dzieciństwie - co to księżyc taki, kiedy nów się pokaże sziłała, jeżeli do niego człowiek przemówi. To znaczy trzeba zmówić trzy Zárwaś Maryjo i później pytać księżyc, co się stanie ze mną w tym miesiącu np. Tak zrobiłem, szybko furazerkę zdjąłem z głowy, przeżegnałem się, zmówiłem trzy Zárwaś Maryjo i

patrzę na księżyc spytałem się, co. I wtenczas należało słuchać w terenie jakie będzie echo. Żadnego echa nie zrozumiałem tylko posłuchałem pociąg, który zahuczał ze stacji i poszedł. To był sygnał, później jak się sprawdziło dokładnie, ale ja jeszcze nie rozumiałem co to jest. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca spokoju. Poszedłem pogo do baraku administracyjnego, gdzie nasi oficerowie oddzielnie tam mieszkali, a każdy z nich był komendantem poszczególnego baraku. Tam grało się w karty. Pograłem, też mi nie szło, w oczko przegrałem trochę pieniędzy i postanowiłem iść spać. Ale zamiast wychodzić drzwiami z tego końca baraku gdzie była administracja, to otworzyłem drzwi na drugą część baraku, gdzie była kaplica nasza obozowa, gdzie był także ołtarz prowizoryczny przy ścianie, obraz Matki Bożej Częstochowskiej wisiał i jakiś posążek stał bodajże Matki Bożej Niepokalanej. Uklękłem, zmówiłem krótki pacierz, poszedłem i szybko zasnąłem. Miałem wtedy taki piękny sen: idę przez tą samą kaplicę, Matka Boża do mnie wyciąga rękę i kiwając palcem wzywa do siebie. Klękam przy niej, ona jedną rękę mi kładzie na głowie, ale w drugiej patrzy nie ta Matka, którą widziałem stojącą z wieczora tylko stoi Matka Boża cudowna Sobotnicka tam, gdzie ja się urodziłem, gdzie pierwszą komunię miałem, w tym kościele. Tam Matka Boża Sobotnicka trzyma w jednej ręce jedną trzecią koła złamanego z piastą. A tutaj widać ta sama Matka Boża i mówi do mnie - synu, nie martw się, prędko wrócisz do domu, zapewniam cię, zobaczysz wszystkich zdrowych ojca matkę i siostrę. Taką była moja rodzina. Uwierzyłem jej. Sięgając teraz pamięcią muszę powiedzieć że kiedy ofiarowałem się na Westerplatte dla Matki Bożej Sobotnickiej i prosiłem ją o pomoc ażeby przeżyć, później już idąc w szeregu do niewoli niemieckiej, rzuciłem jeszcze raz okiem na całe pobojeowisko

2A

zrytą ziemię na Westerplatte, połamane drzewa i tylko stały kikuty

Między innymi zwróciłem uwagę na stare koszary cętkowicie zniszczone a na tych gruzach stał ołtarz Matki Bożej nietknięty zupełnie. Uznałem że to jest cud i zacząłem jeszcze bardziej wierzyć w nią. Ten sen uważałem także za cud i myślałem, że może Matka Boża jakos mnie wydestynuje z tego obozu. I rzeczywiście po kilku dniach przy apelu rannym odliczono nas ok. kilka setek z jednego końca szeregu i między nimi i ja się znalazłem. Wydano nam wcześniej kawę i chleb, wyprowadzono do dworca pod konwojem i tam do wagonów wsadzono i powieziono w kierunku mniej więcej granicy litewskiej. Zatrzymaliśmy się w Ebenrodzie, miejscie oddalonym od granicy litewskiej ok. 9 km. Tam właśnie rozbierali nas gospodarze poszczególnych majątków. Skąpo mówili po niemiecku, tylko ze szkoly, ale nie było kogo innego, więc wybrano mnie, koledzy wypchnęli mnie do przodu, że rozumiem trochę po niemiecku i Niemcy mnie zrobili chwilowo dolmetscherem. Wyjaśniłem kto co umie i gdzie chce iść, do kogo. Ci bauerzy zwracali się do mnie z prośbą, że chcą czterech mieć ludzi, którzy umieją czterema końmi jeździć lub stolarzy, szewców szukali, piekarzy itd. Do mnie się zbliżył człowiek ubrany w futro, miserny z wyglądu ale inteligentny, czapkę trzymał w rękę i do mnie się zwrócił jako pierwszy na terenie niemieckim ze słowem - permalzi/??/ czyli po niemiecku słowo szlachetniejsze jak "ty". Poprosił mnie, że potrzebuje czterech ludzi, między innymi jednego który umie po niemiecku coskować, ponieważ będzie potrzebny mu do hurt wni. Już mało pozostało kolegów, zwołałem, może kt.ś chce pójść do tego pana do pracy. Ale on po niemiecku zwrócił się wtedy do mnie, że bym to ja był u niego tym który umie po niemiecku mówić. Zgodziłem się, ale pod warunkiem że zabiorę ze sobą jeszcze trzech kolegów. To nie byli westerplaterzy ale zżyliśmy się bardzo. Z moich stron wszyscy trzej byli. Zabral nas wszystkich czterech, zawiózł samochodem do majątku oddalonego o 5 km od Ebenrode. Tam wprowadził nas, zapoznał ze swojąumą czyli babcią, która umiała trochę po polsku mówić ponieważ wywoziliła się

z polskiej rodziny, nosiła nazwisko Kuplitz ale dawniej Kuplińska. Von Kuplińska czyli z hrabiów wywodziła się, ze szlachty polskiej. Bardzo grzecznie do nas się odnosili, postawili nam kolację sobą i wtenczas ten pan mnie zabrał z powrotem do Ebenr de, gdzie miał wielki pałac, pływalnię własną w nim, kino, strzelnicę i hurtownię towarów wszelkiego rodzaju do sklepów, m.in. wócki, czekolady i inne rzeczy. Miałem bardzo tam dobrze, a jego siostra prowadziła ten interes. Nazywała się Analize/?? Jak wchodziłiśmy, zaświeciła w korytarzu światło, a on powiedział - bitte si wakanten das ist meine schwester Pocałowałem ją w rękę ci od tej chwili ta dziewczyna była moim największym przyjacielem jakich znam i później i wcześniej znałem. Ona właśnie mi pomogła uciec, ona mi zdobyła broń, lewe dokumenty, bardzo dużo dała mi pieniędzy. Miałem tyle w tym okresie kiedy uciekałem, że mogłem kupić nawet z 5 samochodów osobowych. Za pieniądze niemieckie i to rentengelt, które oznaczały złoto gwarantowane. Za te reich marki mogła być otrzymana dwie lub cztery za jedną markę taką, złot gwarantowaną. Udało mi się uciec. Nie było to takie bardzo łatwe. Przybyłem pod granicę litewską, zatrzymałem się w ^{mieście} wioskach Etkau, po litewsku Etkunas, a później Niemcy je zabrali i nazwali Etkau. Był romans z tą dziewczyną, ale to już chciałem ukryć, bo to nie jest tak bardzo do chwalenia się. To można było się domysleć, dlatego tak dwuznacznie powiedziałem, nie chciałem tych szczegółów opowiadać. Oczywiście, dziewczyna się zakochała we mnie bardzo, zawsze mówiła, że jej serce i jej krew jest polska, tylko że nie umie po polsku mówić. Za ledwie pół roku będąc u niej, nauczyłem ją mówić "wszystko jedno" to mówiła wszystko jedno i na końcu dodawała ganize gal albo "dzień dobry panu" i jeszcze guttmorgen. Zawsze kiedy konno jeździła, byłem jej luzakiem, ubierała mnie w ubranie po cywilnemu swojego brata, jak dżokeja. Nigdy konia nie zakładam, konia zakładał niemiecki kuczer fornel, przyprowadzał pod ganek, ja wychodziłem jak wielki pan z nią razem, ze szpicrutą w ręku i razem z

nią jechałem. Czasem jechaliśmy do lasu, bo mieli wielką posiadłość. Ich majątek nazywał się Firenherst, miał obszar ok. 5 000 morgów. Prawie połowę było lasu. Kiedy w poprzek pół czasami przejeżdżaliśmy konno to zawsze ci Niemcy, formale którzy pracowali u nich, krytykował mnie że szwagierzun pojechał to znaczy źle. Bali się mnie bardziej jak tej Anny, a ja im nigdy kraywdy żadnej nie robiłem, do każdego uśmiechałem się, mówiłem dzień dobry. Było ich wielu, u nich między formalami jeszcze pracowali z naszych stron ludzie z kresów wschodnich, którzy byli w armii dawnej rosyjskiej, dostali się do niewoli i poženili z Niemkami. Taki Peter bardzo był dla mnie dobrym przyjacielem, zawsze dużo rzeczy wyjaśnił, których nie umiałem po niemiecku syn już jego był oficerem marynarki wojennej, na U-botach gdzieś pływał, ale on czuł się trochę i Polakiem, trochę Rosjaninem się czuł. Trudno powiedzieć kim właściwie, bo i po litewsku trochę umiał mówić także. Jego żona była bardzo przyjemna, Niemka która bardzo nam pomagała kupować znaczki pocztowe i inne rzeczy, których jako jeniec wojenny nie mogłem kupić. Ale ja mogłem wszystko kupić. Po cywilnemu jeździłem, zatrzymałem się czy w restauracji czy gdzieś z Anną, to nikt mnie nie legitymował absolutnie, bo wyglądałem jak Niemiec. Było bardzo dobrze mi tam, nigdy przed tym ani po tem nie miałem tak jak u niej. Anna mówiła mi zawsze/tu cytat po niemiecku/-jak wojna się skończy to się pobierzemy, ale nie wierzyłem w to, gdyż ja ją trochę okłamywałem. Mówiłem, że jestem synem nadleśniczego, a u nich nadleśniczy jest bardzo bogatym człowiekiem, bo państwo opłaca mu pensję, prócz tego ma ogromny majątek. Korzysta z własnego i z leśnego majątku, grosenports -taki człowiek. I mnie często tak nazywano żartobliwie. Anna mi dostarczyła ubrań cywilnych bardzo wiele. Zawsze w gazecie szukała, kto tylko gefalen to znaczy sabity i rozmiar podaje, że sprzedaje garnitur. Dawonika zaraz, jechaliśmy, ja mierzyłem. Wszystko było wtedy na kartki, a więc nie było łatwo kupić. Ona płaciła, nie wiedziałem nawet ile. Bieliznę mi prano, cerowano,

łóżko miałem słane. Pokój miałem wyznaczony obok jej pokoju, ona z matką spała. Miałem i dywany i kwiaty i wszystko. Nawet w domu tak nie miałem jak u niej. Ale przyszedł okres ucieczki. Musiałem z wszystkiego zrezygnować, chociaż już trochę było mi szkoda jej, bo przyzwyczaiłem się, a niezależnie od tego bardzo mi pomagała, nawet nie tylko mnie ale wszystkim moim kolegom oddalonym nieraz o 5,6 km. Pomagaliśm w wielu mi ucieczkach, cywilne ubrania kupowaliśmy, ja dostarczałem tym ludziom, żeby mieli w czym uciekać. W końcu i ja się przebrałem. Nie byłem całkiem cywilem przebrany. Miałem buty oficerskie zdobyte w stalagu/na Westerplatte miałem saperki/, chodziłem tam do pracy do sortowania ubrań oficerskich zabranych i tam zabrałem sobie dobre spodnie bryczesy, buty oficerskie. Szedłem zawsze w łachach do sortowania, a wychodziłem ubrany w oficerskie ubranie. I pas oficerski, który do dziś noszę. Miałem zatem buty i bryczesy na sobie, koszulę natomiast miałem cywilną i cywilną marynarkę sportową. szarą. Tak, że byłem podobny trochę do Niemców, bo miałem trochę ryżawe włosy, trochę szwargotałem tak, że mnie się to udawało. Miałem jeszcze lewy dokument sporządzony w ten sposób przez Annę, że napisane było tak /cytat po niemiecku/-obywatelstwo niewyjaśnione, pochodzenia niemieckiego. To mi bardzo dużą gwarancję dawało, jedynie nie dawało gwarancji w Gestapo, bo Gestapo byłoby te rzeczy rozpracowało. Z tym dokumentem właśnie odjechałem. Zostawiłem dla Anny adres dokąd uciekam, skryty, bo ona tego dnia musiała wyjechać, ponieważ nie mogła znieść tego rozstania, poprosiła żebym adres zostawił, to ona pierwsza napisze do mnie. Jeżeli jej odpiszę, to znaczy doszedłem dobrze. Kupiłem rower, nie szedłem pieszo. Po przybyciu do tego Etkau zaczęły się trudności. Zabrałem ze sobą jedną Polkę Zofię Czerniawską, którą także chciałem przewieźć/była tam także wywieziona do pracy, a bardzo jej było źle, gdyż Bauer ją często bił po twarzy, była opuchnięta nieraz a to była młoda dziewczyna, miała zaledwie ponad 18 lat/. Ta dziewczyna na mi trochę zaważała, więc nie mogłem przekroczyć od razu granicy

litewskiej, chociaż Niemcy byli na Litwie, ale jednak nie zdjęli barykad, nie zdjęli płotów saperskich, zabezpieczeń przeciwko łągowym a tylko były ścieżki, małe przejścia przez granicę do Litwy. Tymi ścieżkami przechodzili pracownicy z Litwy do Prus Wsch. posiadający durchlassenszajen czyli takie przepustki graniczne. Ja takiej zdobyć nie miałem żadnej możliwości. Musiałem bardzo ostrożnie działać. Zatrzymywałem się w dzień w parku, przesiadywałem całe dni, bo tam ruch był duży i nie zwracaliśmy uwagi. Natomiast na zwiady wysyłałem dziewczynę. Ona nie umiała po niemiecku, ale za to świetnie mówiła po litawsku. Ponieważ na Litwie w Wołkowyszkach ostatnie lata była kelnerką, kiedy ją zabrano do Niemiec. A była urodzona koło Wilna. Nie wiedziałem z jakiej rodziny pochodzi. Tam ją poznałem, dziewczyna ładna, nawet podobiała mi się, myślałem tu jednak tę Niemkę zostawić na uboczu a z tą dziewczyną pozostać nawet na zawsze w przyszłości. To był mój cel i dlatego starałem się zabrać ją ze sobą. Jednak była mi za ciężka na rower, na ramie wioząc, bardzo mi utrudniała, bo to była dziewczyna dosyć dobrej budowy i ważyła chyba ok. 70 kg, nie ważyłem jej, ale odczuwałem, że bardzo ciężko mi kręcić pedałami. Ta dziewczyna ukradła, skombinowała od tego bauera gdzie pracowała, bo ten sklep posiadał, bardzo dużo nylonowych pończoch, które teraz wiozła ze sobą. A na Wileńszczyźnie później spieniężyła i miała bardzo dużo pieniędzy, bo tego nie było gdzie kupić. I tak przebywałem z nią w parku, ale to się przedłużało. Próbowałem wielokrotnie przejść nocą, ominąć miasto i poza miastem przekroczyć granicę, ale jak wyruszałem, to tam przeważnie były pastwiska pogrodzone. na kwartały i bardzo trudno było przedostawać się przez te druty kolczaste. Rower przeprowadzić, to brzęczy. Nieraz dopiero nad ranem docierałem do granicy nie było już możliwości przejścia. Jeden raz przechodzę już na półną drogę biegnącą do granicy ^{równoległe do}, patrzę przed sobą siedzi Niemiec, trzyma karabin między nogami i psa na smyczy. Granicznik. Idę prosto na niego drogą w kierunku miasta. Zatrzymaj mnie i pyta

dokąd idę. -Do miasta. A co robisz tutaj. Druga siostra Anny wy-
za maż za Kapa, bardzo bogatego hrabiego, Niemca, który blisko Etki
miał ogromny majątek, był znany na tamym terenie, chociaż wtedy go
nie było, był w wojsku pułkownikiem i był na wojnie, tylko jego
żona Emma tam rządziła w tym majątku. Znałem ten majątek dokładnie
ponieważ wielokrotnie tam przyjeżdżałem i byłem traktowany jako
gość. Zawsze, kiedy mnie zatrzymywano, mówiłem że byłem u Kapa.
Nawet mnie nie legitymowano. I znów musiałem przesiadywać w tym parku.
Jednego razu byłem bardzo zmordowany po całej nocy i położyłem się,
żeby się przespać. W jednym rogu parku leżało kilka kup kompostu,
a tam było zarosnięte borem czarnym i innymi krzewami, trochę było
murawy. Położyłem się na tej murawie, rower obok siebie, a Zosi powie-
dzałem, że może się przejść po mieście. W tym momencie przyjechało
Gestapo po kompost na kwiaty. A ja śpię sobie. Jeden szturchnął
mnie butem w moje buty, ja obudziłem się, ale leżę dalej, on pyta
co ja robię. - Widzisz, że śpię. A dlaczego? Bo byłem u Kapa z listem
teraz wracam rowerem, trochę przemęczony jestem, gorąco jechać, to
pojadę później, kiedy wieczorem będzie już chłodniej. Poprosił mnie
o dokumenty, zostawił mnie. Naładowali kompostu i skierowali się do
miasta, bo park trochę na uboczu leżał. Jada, bez przerwy się ogląda-
ją i między sobą rozmawiają. Postanowiłem z tego miejsca uciec, bo
może być zagrożenie. Odjechałem kawałek w kierunku Ebenrode/stara
nazwa tego miasta Sztalupynen/, zatrzymałem się w karczmie przydroż-
nej, poprosiłem o czarne szkodowe piwo i zacząłem pić. W tym momencie
wjechało znów tych dwóch gestapowców na rowerach. Zmęczeni postawili
rowery przed drzwiami, tak jak i mój stał, wbiegli do środka i do
gospodarza zwracają się - prędko dać piwo, bo jesteśmy bardzo przemę-
czeni. A gospodarz - a co jest? A tu, powiadają, jeden szlag i musi-
my go szukać. Siedziłem tyłem, nikt mnie nie zaczepił, nie przyszło
mi na myśl że to ja jestem tym ich uciekinierem. Spokojnie siedziłem.
Wypili piwo, wsiadli na rowery i dalej pojechali. Pomyślałem, że tera

trzeba już koniecznie przekroczyć granicę. Ale Zosia skontaktowała się z jednym Litwinem, a raczej Polakiem litewskim, który ożenił się z Niemką i jest takim szwajcarem-dojarzem krów, który czyści je, pol. dogląda, pastuch można inaczej powiedzieć. Ona powiedziała, że bardzo zaufany człowiek, po polsku i litewsku świetnie mówi i skontaktowała mnie z nim. Poprosiłem, żeby on umożliwił nam przejście zielonej granicy. Powiedział, że ma bardzo dobre możliwości. Jak będzie rano mleko wiózk, to powinniśmy skontaktować się z nim i on nas przeprowadzi. Zgodziłem się, dałem mu wiele pieniędzy, zostawiłem mu rower, patefon, który miałem do roweru przytroczonej/po niemiecku szpil-automat/. On nie wiedział, że mam broń. Mówiłem nam, byśmy rano czekali na placu tam, gdzie on mleko przywiezie do mleczarni i zaraz nas weźmie na wóz, powiezie poza miasto i tam przeprowadzi nas przez granicę. Rzeczono takie rzeczy dokonuje dla handlarzy. Wyszliśmy z Zosią na plac, który się nazywał Hitlerplatz i na skraju stojący. W tym momencie podjeżdża do mnie jeden w białej marynarce płóciennej, rowerem także, w jednej ręce trzyma pistolet, a drugą rower prowadzi. Powiada do mnie - altamara. Małym spacerkiem szliśmy z Zosią. Zatrzymałem się. -Aussweiss, pokazalem mu dokumenty. Zatrzymał dokumenty i mówi - comen sie nach komendantur. Ręką sięgnąłem po pistolet, bo miałem go w lewej kieszeni marynarki, a wiedziałem że jak tam zaprowadzą to będzie rewizja. Myślałem strzelać, zabić go, ale przecież na takim placu masa chodzi wojska, policji tak, że nie miałbym żadnej szansy ucieczki. W duchu zacząłem się modlić do Matki Bożej i w tymże momencie znowu prawie stał się cud. Otóż przez plac przejeżdża drugi taki sam gość tak samo ubrany i takim samym rowerem. I on krzyczy do niego - Janek, chodź tutaj. /po polsku tu mówię, żeby nie tłumaczyć/ Janek podchodzi i on powiada, weź tych ludzi i zaprowadź na komendanturę. A on powiada, człowieku, ja nie mam czasu. -Ja także nie mam czasu. Ale widocznie stopniem byk od niego starszy, bo ten jednak

rozkaz wykonał. Wziął od niego dokumenty i ten wsiadł na rower, pojechał, pistolet schował, ale ten okazał się lepszym człowiekiem. Uśmiechnięty, ~~wesóły~~ wesóły, pistoletu nie wyjmuje. Pyta, co on od was chciał? Ja nie wiem. Dokumenty masz przecież w porządku. Jesteś suddeutsch. Tak, pochodzenia niemieckiego jestem. Grałem tu rolę Niemca, nie z Prus tylko litewskiego, więc pokręconą nową niemiecką miałem prawo mówić. A ta dziewczyna? Dziewczyna żadnych dokumentów nie ma, gdyż bauer jej bardzo jest zły, a to jest moja kuzynka, zabrakłem ją tutaj, byłem na zabawie i teraz wracamy do domu. O której jest pociąg w tamtym kierunku? Mówię, że o szóstej rano. Puścił nas. A więc szczęście znów przypisałem Matce Bożej, która mnie obroniła w tym momencie. Zrozumiałem wówczas, że ten Litwin przekazał nas Gestapo. On powiedział, jak my ubrani, bo później się do tego przyznał. Kiedy przyszedłem do niego, on już był pewny, że siedzę na Gestapo, że to co zostawiłem już będzie jego własnością. Jednak stało się inaczej. Wieczorem przybyłem z Zosią do niego, on się nie spodziewał. Mieszkał w majątku na skrajku, skraju, w fernalskim budynku. Wszedłem, wyjąłem pistolet parabellum, uderzyłem go od razu tym pistoletem i powiedziałem - wszystko zabieraj Zosiu. Dlaczego wydałeś nas? Powiedział, że chciał to wszystko spieniężyć, bo i płaszcz mu zostawiłem, kupiony przez Annę gdzieś nad francuską granicą, kosztował w Niemczech 300 marek, to jest bardzo dużo, a taki fernal zarabiał przeciętnie 30 marek miesięcznie. W tej chwili wszystko zabrałem, pobikłem go i wyszedłem do pobliskiej stodoły wś ród pól. Tam przeczekiwałem do późnej nocy, żeby zmienić miejsce pobytu. Zosia spała, ja musiałem czuwać całą noc i gdzieś nad ranem mocną szarówką przedostaliśmy się. W nocy można się było spotkać z ochroną przeciwlotniczą, pomocnikami policji hirstpolizei się nazywali. Trzeba było nad ranem, kiedy oni zmęczeni już śpią. Wtedy doszedłem znów do parku, ale było już brak żywności, nie miałem co zrobić. I Zosia już była głodna i ja głodny. Zosia powiada, to się nie udało

ale przychodzą Litwini do pracy, ja z nimi spotkałam się, rozmawiała i oni chętnie nas przeprowadzą. A ile będzie kosztować? Tyle i tyle. Dajem jej te pieniądze i ona poszła. Ale jak to zwykle bywa dziewczyna nie tylko że straciła pieniądze, ale na pewno i swój honor straciła. Pwróciła z płaczem, na jej twarzy można było zauważyć siniaki, mogli ją mocno wykorzystać te łobuzy litewskie. Zobaczyłem, że i tu przegraliśmy. Jeść nie ma co. Wybrałem się do restauracji. Napisane było Nur für deutschen. Wchodzę, tam była sala wyznaczona tylko dla oficerów, a ponieważ ostatnie czasy oficerowie niemieccy nie na froncie tylko w domu, w służbie na terenie Niemiec nosili nasze spodnie oficerskie i nasze buty oficerskie, to mi podpadało już, że jestem w butach polskich i polskie spodnie mam. Wchodzę, biorę sobie gazetę, siadam przy stoliku, podchodzi do mnie kelnerka i pyta co ja chcę. A ja pytam co jest bez kartek, bo na wszystko trzeba było wyciąć kartkę. Jeżeli obiad z mięsem, to trzeba było na to mięso dać kartkę. Jeżeli herbata czy kawa z cukrem, to na cukier kartkę trzeba było dać. Ja miałem te kartki żywnościowe, ale już były zużyte, prawie za cały miesiąc zużyłem. Jest grzybowa zupa i bułeczki z marmoladą. Proszę mi zawinąć kilka tych bułeczek i dać zupę mi grzybową. Przyniosła zupę i zawinięte bułeczki. Ja zjadłem, zapłaciłem, ale do talerza włożyłem dwie marki/to były srebrne marki niemieckie/. To było dosyć duże, jak ona przyszła zabrać talerze, powiedziałam to jest dla pani jako tringelt czyli napiwek. Ona mi serdecznie podziękowała i zwraca się do mnie tak: a czy ja nie chcę czasami kiełbasy porcji zjeść? Chętnie zjem. Ile chcę porcji? Proszę mi zawinąć trzy porcje, a jedną przynieść na sędzenie. Przyniosła, znów jej włożyłem do talerza 5 marek, bo miałem pieniądze pod dostatkiem, mogłem nimi szafować. Niemcy byli oszczędni. Też młoda dziewczyna żadna Niemka, która może we mnie widziała na przyszłość jakiegoś partnera, ale dosyć mi sprzyjała. I od tej chwili zacząłem codziennie przyjeżdżać na obiad tam. I tym samym żywiłem Zosię. Ale jednak

ostatni dzień tak powiedziałem do Zosi: Zosiu, dzisiaj jest koniec mojej wędrówki tutaj. To był 15 sierpień. A więc dlatego, że 15 sierpień 1942 rok i ten 15 sierpień to było u nas święto - cud nad Wisłą, święto wojskowe się nazywało, w wojsku obchodziliśmy, niezależnie od tego dzień Matki Bożej Zielnej tak, że to dzień jest ofiarowany Matce Bożej. I ja postanowiłem, że ten dzień będę święcił przekraczając granicę. Pomyślałem, przekroczyć z wieczora, nie będę nocy czekał. I otóż przyjeżdżam poza miasto na zwiad, jadę polną drogą rowerem, przyjeżdżam z powrotem do parku, zabieram Zosię, jedziemy z Zosią do karczmy poza miastem leżącej na tej samej drodze. Taki garbaty Niemiec, małe jakiś pokraka, kaleka po prostu utrzymywał tą swoją małą knajpkę. Poprosiłem czy mogę kupić u niego mleko, można, podał mleko dla Zosi i dla mnie. Spytałem, czy za opłatą Zosia może tu pozostać i podzierać sobie tu w kąciku, bo bardzo jest zmęczona. Nie było gości tam, prawie nikogo tam nie było. Jeden gość się pokazał na godzinę, to wszystko. Ona usiadła za stołem i tam zrzemnęła się, a ja pojechałem do fryzjera, elegancko się ogoliłem, ostrzygłem tak, żeby wygląd mnie nie zdradził, że jestem niechlujny. Musiałem perfektnie wyglądać. Po drodze, wracając od fryzjera, zajechałem do warsztatu, ponieważ mój rower, mimo że nowy, ale był uszkodzony, torpedo. Zrobiłem rower, także dałem napiwek, żeby mi na poczekaniu zrobiono i przyjechałem do tej karczmy. Zapadała już wieczorna szarówka, słońce na horyzoncie może w połowie było. Po tej drodze polnej masę spacerowało różnych urlopowiczów wojskowych, oficerów, żołnierzy. Bo przecież za miasto wchodziłi z pannami, a żeby trochę tych uścisków zrobić serdecznych. Przychodzę, mówię - Zosiu, szykuj się. Zosia od razu wychodzi na podwórko, jeszcze Niemiec dał nam mleko, zapłaciłem mu i wychodzę. Wszystko przytroczyłem do roweru, bo przy niej zostawiłem patefon i płaszcz. Powiadam Zosi - idź tą drogą, gdzieś na 100 metrach od karczmy będzie w prawą stronę ścieżka między tymi czołgowymi zaporami. Prosto na tę

Ścieżkę się kieruj, nigdzie się nie rozglądaj. Ja ciebie dopędzę w tym momencie. A Niemiec do mnie się zwraca w tym momencie - jak będziesz wracał z tamtej strony, to ja wszystką słoninę kupię u ciebie. On wyobrażał sobie, że ja jestem spekulant. Tak, tak, wszystko otrzymasz jak tylko powrócę. Zosia dochodzi, a ja wsiadam szybko na rower, kręcę pedałami z całych sił, dopędzam ją przed samą dróżką około metr, biorę ją pod rękę i kieruję się bezpośrednio na ścieżkę. Ale przez lewe ramię rzucam okiem na drogę, jaka jest reakcja tych spacerujących oficerów i żołnierzy. Otóż wszyscy zatrzymali się jak na komendę i patrzą, ale nie wiedzieli co mają zrobić. Wyobrażali sobie, że ja muszę przekraczać, bo przecież ich szpieczy różną drogą przedstawiali się często na zielono, ażeby nie wzbudzać podejrzeń. A więc oni nie wiedzieli, czy mogą mi przeszkodzić. Ja Ośmieliłem się jeszcze bardziej, w drodze przecinała rzeczka, strumyk, a dosyć głęboka. Wstawilem rower, woda sięgnęła prawie po siodełko. W ten sposób Zosia stanęła na ramę i przeszła na drugą stronę, a ja przeskoczyłem, trochę się zamoczyłem, rower wyciągnąłem i zacząłem prowadzić. Zosiu, teraz zbliżamy się do szosy, bo i mapę miałem ze sobą, którą do dziś przetrzymuję jako pamiątkę - Prus Wsch. mapa i część Litwy. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie jest granica, nie była oznaczona żadnymi słupami. Słyszę po szosie jadącą jakąś bryczkę na gumowych kołach. Nie słychać jej turkotu, a tylko trzask kopyt końskich o asfalt. I śpiew jakiś inny, nie niemiecki. Dwie rozśpiewane dziewczyny. Zosię wysyłam od razu na tę szosę, żeby je zatrzymała/powiedziała, że śpiewają po litewsku/ i spytała, czy ta droga prowadzi do Kiberty na stronie już litewskiej miejscowość Kiberty, oddalona od Etkau ok. 6 km. Grozę jej, że gdyby mnie wydała to ją zastrzelę i je też. Zosia porozmawiała z nimi, one pojechały w kierunku Etkau, a my wyszliśmy na szosę. Ona mówi, idziemy na Kiberty, weźmiesz mnie na ramę, będziemy jechać, ale mnie coś wewnętrznie tknęło, że nie można szosą poruszać się, przecież mogę

wojsko spotkać, może milicja przejeżdżać. Trzeba polami uciekać. Przekraczam szosę, idę kawałek do sośniaczkę, młodego lasu i brzegiem tego lasu będę starał się przechodzić. Już był wieczór. Zosia zbuntowała się, że pójdzie drogą. Ale ja pomyślałem, że jeżeli ona pójdzie drogą to sama wpadnie i mnie wyda, więc nie pozwoliłem jej.

2B

Nad skrajem lasu posłyszałem śpiew mężczyzny w litewskim języku. On biegnie, ja go zatrzymuję - halt, zatrzymuje się, podskoczył do góry ze strachu, młody człowiek. Zwracam się do niego po niemiecku, on powiada, że po niemiecku nie rozumie, to ja po rusku, bo nie chcę wydać się, że jestem Polakiem, on po rusku nie rozumie, on tylko po polsku może mówić. Zwracam się do niego wówczas po polsku. Skąd on zna język polski. Powiada, że jest tutaj studentem na Litwie uczyć się na lekarza, mój ojciec jest oficerem polskim, ale ożenił się z Litwinką, dlatego znam dobrze język litewski. I tutaj, po podbiciu Litwy przez Niemców, ojciec dostał się na Litwę, był internowany, matka go zabrała i w tej chwili jest w domu. I dlatego czuję się Polakiem. Wyjaśnił mi, że do Kibert jest jakieś 4 km/czyli oddalikiem się od granicy ok.2 km/, ale tam jest most strzeżony na tej szosie, tam każdego zatrzymują Niemcy. A jak to ominąć? On mówi - mogę pana przeprowadzić, ale musimy nadrobić aż 7 km. Przejdziemy kładką przez rzekę i wyjdzie pan zaów na tę szosę już poza Kibertami. Nie byłem pewny czy ten chłopak /nie wyprowadzi mnie w pole/, ale pokazałem mu wówczas pistolet i powiedziałem, że jeżeli zrobi coś nie tak, zastrzelę go a później siebie. Obiecałem mu, że jeżeli mnie przeprowadzi, dostanie papierosy. Doprowadził mnie rzeczywiście. Bardzo serdecznie pożegnał się i odszedł. Miałem trochę obawy, czy przypadkiem mnie nie zradzi po odejściu. Tej nocy doszedłem z Zosią pod miasto Wołkowysk, ale nie polski tylko litewski czyli Wołkowyszkos. To już 18 km od granicy pruskiej. Byliśmy już bardzo zmęczeni, musieliśmy odpocząć. Spaliśmy w owsie czuwając naprzemian. Zosia zapropo

nowała, żeby ja najpierw spał, a ona będzie czuwać. Zasnąłem od razu nie podejrzawając niczego. Leżę na płaszczu, rower obok mnie. Budzę się rano, słońce na mnie świeci, godzina 9-ta chyba była, a dokoła już ten owies ścina żniwtarka, konna żniwiarka. Wstaję, rozglądam się, Zosi nie ma. Biorę rower, biorę płaszczyk, wyjeżdżam na drogę i szukam jej, może coś się z nią stało. Nie podejrzewałem, że ona mnie zdradziła. Szukałem wody, znalazłem wreszcie strumyczek, ogoliłem się w krzakach, wyjechałem na szosę, jeszcze sprawdziłem pod mostem, i wjechałem rano do Wołkowyszek. Miasteczko śliczne, nieduże, ale bardzo ładne. Na Litwie są bardzo szerokie drogi, proste, szersze jak u nas w Polsce i daleko widać. Powoli przejechałem na rowerze przez miasto rozglądając się na boki, nie spiesząc się. I otóż wyjeżdżając już na peryferie tego miasteczka, zobaczyłem kościół katolicki, pierwszy na mojej trasie. Pomyślałem więc, że tu podziękuję Matce Bożej za już przebytą wędrówkę. Wiele książek leżało w kościele na ławkach, ale wszystkie po litewsku były, więc nie mogłem z nich skorzystać. Pomodliłem się swoimi słowami przed obrazem Matki Bożej i jakby mi ktoś wewnętrznie powiedział - natychmiast wychodzić z kościoła. Wyszedłem, zbliżyłem się do furtki, z której wychodziło się na ulicę która prowadzi do miasteczka Mariampola/70 km drogi/. Patrzę, Zosia idzie z drugą Litwiną i rozmawia po litewsku. Mówię dzień dobry grzecznie, chociaż już wiedziałem, że ona zabrała mi teczkę skórzaną, włożyła swoje pończochy, zajrzałem do walizki - zginął mi zegar, który dla siostry wiozłem jako prezent, bardzo piękny i drogi zegarek był i trochę pieniędzy wzięła, wszystkich mi nie zabrała. Ale ja jej nie wypominam, tylko mówię, Zosiu, jeżeli tobie łatwiej jest samej iść, to proszę bardzo, mnie jest łatwiej bez ciebie. Ale, mówi, nie Witku, już tyle przeszliśmy drogi, ytel już mieliśmy przygód, naprawdę cię przepraszam, że tak cię zostawiam, do tego miasteczka przyszedłem. Ja tu pracowałem, tu mam dużo znajomych i dlatego właśnie przyszedłem, żeby się dobrze najęść/rzeczywiście te

racje nasze były głodnawe/, ale jeszcze muszę wrócić do tej pani i coś jeszcze załatwić. Czujny byłem, ale tu jakos uwierzyłem jej. Ale znowu coś wewnątrznie mi mówi - uciekaj. Siadam więc na rower, a to było z górki w dół, zjechałem nie kręcąc pedałami ok.400 m, ale kościół mam jak na dłoni widoczny. Po prawej stronie rósł bób, a ja bardzo lubię surowy bób, a już i głodny byłem. Litwini zazwyczaj sadzą ziemniaki i w tych samych rzędach sieją mak i bób. A więc i maku można się najęść i bobu. Odszedłem może o jakieś 50 m od szosy, położyłem rower w te ziemniaki, a bób dosyć wysoki, to on nie był widoczny. Sam się ułożyłem głową w kierunku szosy tak, żebym widział kościół i zacząłem uważać na Zosię, kiedy będzie szła. Naginałem sobie łodygi bobu, zrywałem strąki i zjadałem je jak i mak. W tym momencie widzę, że kościoła wjeżdża trzech milicjantów litewskich, od razu rowery stawiają pod murem kościelny, wpadają przez furtkę i szybko wracają, biorą rowery i jadą w moim kierunku. Myślałem, że może to przypadek, może ktoś mnie obserwował z wieży, dosyć że podjeżdżają do tego samego pola, opierają rowery swoje o skarpe karabiny z pleców zdejmują, jeden z karabinem idzie w moim kierunku, a dwóch oddala się bardziej ode mnie na prawo. Wiem, że to jest obława, więc przesegnąłem się, wyjmuję spokojnie pistolet, odczepiam i myślę, czyżbym dopiero teraz miał ten pistolet wykorzystać. Miałem ze sobą 3 magazynki czyli 27 strzałów, długo mógłbym się bronić. Modłę się do Matki Bożej i proszę, żeby nie zabić człowieka niepotrzebnie. Jeżeli zauważę, że on mnie zobaczy i minie mnie, to nie będę strzelał. I tak się stało, doszedł do mnie na jakieś 4 m, zauważył mnie, podskoczył do góry ze strachu jak zając i od razu kieruje broń w moim kierunku. Nie czekałem, oddałem chyba 2 strzały, on się skulił mocno, upadł, broń wyrzucił, jeszcze do niego skoczyłem i uderzyłem ^{kolbą} go wstawać ohoiał. Jeszcze zdążyłem pistolet chwycić od niego i schować za pasek, to była siódemka, w każdym razie było jeszcze 7 pocisków więcej. Za jego karabin chwyciłem, on był załadow

wany, a tanci biegną w moim kierunku. A on się uspokoił, wzdłóżnie zabiłem go, nie jestem pewny, bo nie sprawdzałem. Tanci byli oddalen ode mnie o jakieś 100 m, od razu celuję w lewego, postrzelił się i pada Strzelakem z karabinu, bo z tej odległości karabin jest pewniejszy. Strzelam do drugiego, niecelnie, już zacząłem się denerwować, trafił bodaj w lewe jego ramię, drugi pocisk - pochylił się lecz nie upadł, ale już karabin trzyma w jednej ręce i zaraz karabin wypuszcza, biega nie kawałek i też pada. Wstaję, wyrzucam z karabinu zamek i podchodzę do nich. Jeden żyje, rusza się. Strzelam do niego ze swojego parabelum 2 razy tak, że on uspokoił się. Drugiego nie dobiżakem, nie wiedziałem czy on żyje czy nie. Rozbroiłem ich karabiny, wyrzuciłem zamki. Wsiadłem na rower, jechałem kawałek szosą, później zjechałem w prawo na polną drogę, lasy, mokradka spotkałem i tak dojechałem pod Kowno, Kojzędory i Żeznory nazywały się te miejscowości, tam w leszczynowym lesie zatrzymałem się na noc, głowę oparłem o pień i tak spałem. Rano wstałem i słyszę śpiew po polsku na Niemnie, bo Niemien przepływał przez ten las w głębi. Wyszedłem na skraj tego lasu, w dolinie był Niemen. Rzekę przepływał jakiś chłopak lat 14-tu 15-tu i pięknie śpiewał po polsku piosenki wojskowe. Zawołałem go, pojechał do brzegu, zapytałem, ile mu zapłacić, żeby mnie przewiózł na drugą stronę. Skąd ty umiesz po polsku? A ja proszę pana jestem z tej wsi Dobrowszczyzna i moje nazwisko Dąbrowski, a więc jakaś szlachta polska zamieszkująca na Litwie. Pieniądzy żadnych nie chciałem, rower położyłem na tę stronę, przewiózł mnie na drugą stronę. Dałem mu tych kilka marek, chłopak nie chciał, ale mówię - weź to weź to ci się przydadzą. Dalej jechałem po prawej stronie Niemna jechałem. Dowiedziałem się, że tam jest niebezpiecznie, od ludzi, spotykałem już tam więcej nowy polskiej. Powiedzieli, że tam bardzo dużo szaulisów tak, że muszę wrócić znów na drugą stronę Niemna, z powrotem na Kowno, jeżeli na Wilno chce się przedostać. Powróciłem z powrotem przez Niemen, ale już przez most, przyjechałem pod Kowno,

ale jeszcze daleko było do Kowna. Na drodze spotkałem Polaka, który na Litwie ożenił się z Litwinką. Ona mówi do niego po litewsku, a on do niej po polsku idąc drogą przede mną, a ja jadę za nimi i słyszę tę rozmowę jak gęś z kaczką. Podjeżdżam do niego, witam po polsku on mi mówi że jest Polakiem, ma tu gospodarstwo, idą do jej siostry. Ponieważ jej siostry mąż był komunistą i Niemcy go zabili. Idziemy ją odwiedzić, zobaczyć jak jej się wiedzie. Może pan nam towarzyszyć. Było już pod wieczór, zgodziłem się. Pojechałem z nimi, wydobyłem patefon, zagrałem kilka kawałków, walców Straussa, bo tylko były płyty niemieckie. Gościna była naprawdę królewska, wdałiny litewskie bimber. Jego szwagierka także nie umiała po polsku mówić. On zaproponował, że będziemy na strychu spali nad domem, tam jest siano. Ale ja zauważyłem że zginął mu stożek nóż stożkowy duży, a nikt go z kobiet nie zabierał, czyli on schował. Od razu pomyślałem, że to może być człowiek niebezpieczny. Ale by nie uciekać, nie stchórzyć, bo byłem wówczas także młody człowiek i byłem bardzo silny do tego i odważny, byłbym go i tak pokonał, gdyby on się rzucił, bez broni, a przecież jestem uzbrojony. Wchodzimy na ten strych i ja pomimo, że nie znam litewskiego, ale żona jego już z Polakiem żyjąca przez szereg lat i znająca polski, pokręciła swój język litewski, używała wielu słów przekręconych jakby po polsku. On z nią rozmawia tylko po litewsku, mówi, niech się pan rozbiera, ale kładzie żonę pomiędzy mnie i siebie. Zacząłem wyczuwać, że człowiek chce mi zadać może cios nożem, ale chce mieć sumienie spokojne. Myśli, że może ja jako młody człowiek, potrafię jego żonę, też młodą i przystojną kobietę poruszyć w nocy czy coś, a on będzie miał wówczas powód, żeby mnie zabić. A jemu chodziło o zrabowanie moich rzeczy, bo zawsze mówił - panie, tutaj rower to są pieniądze ogromne, a jeszcze pan ten płaszcz ma, ten patefon to skarb. Nie wiedział, że miałem i pieniądze. Byłem dosyć czujny, buty tylko ściągnąłem, położyłem się, nie nakrywałem się niczym, tą pościelą, którą mi przygotowali. Z

ich rozmowy zrozumiałem, jak ona mówiła - zaczekaj, ty jesteś katolik, wiedziałem że naradzają się i ona go w czymś hamuje. Kiedy on zachrapał mocno, buty cichutko naciągnąłem na nogi, zszedłem po drabinie na dół, uderzyłem w drzwi, które były tylko na haczyk zamknięte wywalikłem je, drabinę za sobą ściągnąłem i z rowerem w nocy uciekłem. Przenocowałem w lesie, rankiem wyjechałem na szosę. Masa grobów przy drodze była, piaskowe mogiły bez żadnych krzyży, ale bardzo było mi smutno, że tylu ludzi pogrzebanych jest tymczasowo, nie na cmentarz może Polacy, może Rosjanie, może Niemcy. Podjeżdżając do jednej chałupy widzę stojącego przed nią dobrze zbudowanego młodego mężczyznę z żółtą ryżą brodą. Zatrzymuję się mówię po polsku dzień dobry a on mi piękną polszczyzną odpowiada. Pytam o wodę i coś do zjedzenia. Zaprosił mnie do siebie. W domu ~~miał~~ oprócz niego był brat i siostra. On powiada, poznaję, że pan musi być wojskowym, żołnierzem z Września. Ja też byłem w wojsku polskim, jestem staroobrzędowcem, mieszkałem na Suwalszczyźnie, ale Niemcy wysiedlili mnie na Litwę, bo tam osiedlili swoich osadników niemieckich sprowadzonych z Białorusi czy Rosji. Rzeczywiście przyjęli mnie bardzo przyjemnie ci ruscy prawosławni ludzie. Postawili mi jedzenie, przysmak w tych stronach - bliny kartoflane takie duże z całej patelni i do tego nasmarowane ~~ma~~ żone słonina, boczek chudy i jaja white do tego. Cały talerz postawili przede mną tego. A sami biorą pióro gęsie, mają w szklance olej lniany, zamoczą pióro w nim i po placku pociągną tylko dla zapachu i jedzą tak. A ja jeszcze nie zaczynam, a dlaczego państwo tak robicie? - U nas jest bardzo ścisły post, bo obchodzić będziemy za kilka dni św. Eliasza, a przed świętym Eliaszem mamy ogromny post, nam nie wolno nawet ryby jeść, bo ona też na krew, a to co ma krew my nie możemy jeść. A roślinne, olej, wolno nam tylko dla zapachu pociągnąć po placku. To ja mówię, moi drodzy, jestem w waszym domu, domu nie katolickim, ale domu chrześcijańskim, a przecież dla mnie nieobcny jest chrześcijaństwo, ja też jestem chrześcijanin.

I wierzę w tego samego Jezusa Chrystusa, wierzę w tego ^{waszego} ~~naszego~~ proroka waszego Eliasza i naszego Eliasza, przecież my mamy i katolickie obrazy - Eliasz przejeżdża na tych swoich rumakach i aż iskry spod kół się sypią, nawet u nas w domu u moich rodziców było. Chcę tak samo pościć, proszę mi to zabrać, będę tak jak wy pościł. I tym siwkupilem do tych ludzi po prostu. Starowiery czyli staroobrzędowcy nie pozwalają katolikowi napić się z tego samego kubka wody, bo to już skażone będzie. A mnie jednak pozwolili. Te same kubki, te same szklanki, nalewali. Niech pan u nas wypocznie, zostanie kilka dni. O nic nie pytam, ale wiem że pan z knierz z Września, że pan ucieka to czuję. U nas droga jest bardzo niebezpieczna. Widzi pan, po drugiej stronie tej szosy, ten piasek, to przecież zabili niedawno tu Litwini kilku ludzi uciekinierów, ograbili i tu pochowali. Pięć grobów. Szaulisi bardzo Polaków nie lubią, niech się pan nie przyznaje że pan jest Polak, broń Boże. Niech pan lepiej Rosjanina udaje. lub Niemca. Zostałem u nich chyba z 5 dni. Byłem na święcie ich Eliasza piękna była później uczta, piękna i radosna, w tej rodzinie. Poczujęm się jak ktoś ich bliski. A niezależnie od tego ich siostra trochę poczuła do mnie sympatię. Spacerowałem z nią, wiele rzeczy mi opowiadała, czysto po polsku. Ja już muszę wyjeżdżać, powiada, panie Wiktorze, ja panu poradzę tak. Jest nasz szwagier, niedaleko stąd, Będzi pan jechać tą szosą cały czas, aż przetnie ją tor kolejowy. Za tor po prawej na wzgórku będzie drewniany domek. Niech pan tam zapuka, tam jest nasz szwagier o nazwisku Biekousow, a ponieważ pańskie Biekous jest podobne, to może wy i krewni jesteście. On tam pana przyjmie i będzie panu tam dobrze i on dalszą drogę panu wskaże. Ale ja tylko pan zapuka i on będzie pytać, proszę powiedzieć po rusku - Szurka, mnie przysłała. Tak zrobiłem. Na moje pukanie, wychylił ru brodę młody człowiek - chto zdes? Swoj, Szurka mnie przysłała. Zachađi, zachadı, domoj. On świetnie po polsku mówi, stawia dwa dz ny mleka, jeden słodki, drugi kwaśnego, wielki bochen chleba, karm

czym ma. Prowadzi mnie na strych chlewika, w którym wydrapana dziura pod słomą i sianem, że tam przez tę dziurkę małą wystarczy się przecisnąć, a tam już większe pomieszczenie. Tam przenocowałem. Byłem 4 dni u niego, wypocząłem, wykapałem, ogolilem. Przygotowałem się do podróży jak trzeba. Zapropozował mi, że w dzień targowy weźmie mnie na furę /już do Kowna nie było daleko/, pod słomę schowany mój rower, przewiezie mnie przez całe Kowno, a ja będę szedł chodnikiem obok. Tak się stało. Maszerowałem chodnikiem, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Zajechał za miasto, wsiąłem rower, pożegnałem się z nim bardzo serdecznie, jak z bratem rodzonym pocałowaliśmy się. Tylko kawałk ujechałem za Kowno, kiedy spotkałem ^{idących} dziewczynę i chłopaka - ona lat 20, on 11-12, On mówi po litewsku, dziewczyna po polsku. Zagadnąłem ją, skąd zna polski. Odpowiedziała, że jest spod Wilna, z Trok, a tutaj mieszka jej siostra, za ojcem tego chłopaka, Litwinem. Zaprosiła mnie do ich domu, który był oddalony od szosy o ok. 200 m. A potem, prosiła, odwiezie mnie pan do Trok. Litwin na stół płożył mięsiwa litewskiego różnego - gość w dom Bóg w dom, powiedział. Poczuję się tu bardzo dobrze. Nawet bimbru postawił. Byłem przemęczony, wódki nie chciałem pić, bo bałem się, że człowiek podchmurzony lekko może jakiś nietakt popełnić. Litwin do chłopca zwrócił się po litewsku. Nie rozumiałem, co mówi, tylko "ekszenaj" co znaczy szybko biec. Ale żona jego, czyli siostra tej przygodnie spotkanej dziewczyny, strasznie zaczęła krzyczeć na niego po polsku - ty świnię, chcesz człowieka sprzedać. Zrozumiałem, że to o mnie chodzi. I mówi do mnie niech pan natychmiast ucieka, on wysłał tego chłopca do szaulisów, a ci zaraz pana zaatakują. Bo szaulisi na Litwie mieli konie, siodła mieli broń przy sobie tak jak u nas Krakus był w Polsce. Wyjąłem splotę z kieszeni, pokazałem, że mógłbym z nim na zawsze tu skończyć ale nie chcę przelewu krwi. Pan mnie gościnnie przyjął, chcę gościnnie od pana odejść. Tylko zabrałem ze stołu nóż wielki, bo myślałem że przyjadzie mi walczyć wręcz, jak oni mnie zaatakują. Wypikem wtedy

szklanę wódki dla otuchy. Wsiadłem na rower i odjechałem sam. Gdy wyjeżdżałem na szosę, to już dwóch konnych pod górę jechało i strażało do mnie, ale z daleka. Mieli do mnie ponad kilometr pod górę. Skręciłem z szosy w polną drogę, ale żeby nie zostawiać śladów, rower wziąłem do ręki i błęskiem krzakami, a oni myśleli, że ja dale szosą pojechałem. Szedłem lasami, ścieżkami, aż doszedłem do mokradź. Przeszedłem je i trafiłem na tor kolejowy, chyba Kowno-Wilno. Był tam ogródek bardzo ładny i w nim leżała dziewczynka ok. 14 letnia i na głos czytała Pana Tadeusza. Skąd umiesz po polsku czytać? - Jest Polką, tu mój tato tutaj uciekł, był internowany. Może skontaktujes mnie ze swoim tatusiem. A kim twój tatuś jest. Oficerem polskim. To był porucznik, nazwiska już nie pamiętam. Byliśmy bardzo sobie nieufni od pierwszego momentu, gdyż on mnie podejrzewał, że mogę być ze strony niemieckiej, ponieważ miałem jeszcze przy klapie przypięty, dla zmylenia Niemców, znaczek Arbeitsfrontu czyli związek zawodowych, podobny do naszego NCTowskiego, a w środku hakenkreuz. Długo był nieufny i miał w pogotowiu także broń. Powiedziałem mu szczerze, że wiem od córki, iż jest oficerem polskim, ja jestem podoficerem, uciekłem z niewoli, jestem westerplatteczykiem i uważam, że pan mi pomoże przedostać się na tym terenie lub może dokumenty zrobić tego terenu. On chętnie na to przystał, zrozumiał mnie w końcu, ale jednak w nocy przybyło jeszcze dwóch gości przez niego wyznaczonych, którzy mnie sprawdzili, mając już ze sobą broń, czyli już działała partyzantka na tym terenie. Wylegitymowali mnie, porozmawiali, dopytywali się o dowódców itd., po czym została mi udzielona pomoc. Tam odpocząłem dobrze. Stamtąd przesłano mnie do pewnej wsi granicznej, polskiej wsi, która już była nad granicą litewską, ale już bliżej Wilna. Tam skontaktowano mnie z sierżantem, który służył w straży granicznej. U sierżanta przebyłem 3 dni i otrzymałem dowód osobisty na teren Wilna, wykonany już konspiracyjnie. Dostałem się do Wilna dokładnie 1 września. Część Wilna paliła się w tym czasie.

3A

Dowiedziałem się od zwykłego przechodnia, że Litwini założyli getto dla Polaków w tej dzielnicy Wilna i Polacy jednak nie Żydzi, nie siadali w getcie, ale nocą podpalili je, wyrwali się poza nie i oto wytkumaczenie tego pożaru. Poruszyło to moje młode serce bardzo mocno. Co prawda matka moja nosiła nazwisko Kulnis, więc mogłem się poszywać, że jestem po chodzenia litewskiego. Ale oni byli bezwzględni. Jeśli ktokolwiek coś miał pierścionek czy zegarek, za to mogli zabić gorzej jak Niemcy, aby tylko to zrabować. To jest naród też złodziejski. Chociaż Litwini tak długo z nami trzymali unię i może do dziś część ich jeszcze marzy o tej unii, ale niestety muszą powiedzieć prawdę. Spotykałem się z tymi milicjantami, którzy służyli dla Niemców czy też innych Litwinów spotykałem, to zawsze do Polaków inaczej nie mówili jak ropucha ty polska - lankuropuża/?. Całą sobą, można powiedzieć, służyli wówczas Niemcom. Przejechałem Wilno, dostałem się do miejsca, gdzie przebywali rodzice, blisko Oszmiany. Dobiłem się 3 września 1942 roku. Mama moja bardzo nie lubiła jak się coś marnuje. Ojciec kosił swoje pole, bo za czasów niemieckich utrzymywał bardzo mały kawałek ziemi 7 ha tylko, a więc kosił kosa, ale zostawało po bokach trochę owsa. Więc mama poszła ścinać sierpem żeby to nie zniszczyło się. Oparłem rower o skarpe, bo pole było w odległości i szedłem do mamy. Dochodzę do niej i powiadam - szczęście Boże mamusiu, dzień dobry. Matka podniosła się, spojrzała na mnie i od razu zemdląca, upadła. Podniosłem ją - mama, toż jestem ja, nie bój się. Mama na to - już myślałam, że ty dawno nie żyjesz, bo zawsze po godz. 15-tej byłeś w domu, ubierałeś swój mundur, który jeszcze przechowujemy, chodziłeś po mieszkaniu, rozmawiałeś ze mną czyli ciebie widziałam nieżyjącego. I po prostu w tej chwili nie mogę uwierzyć, że ty żyjesz. Prowadzi mnie do domu. Ale jeszcze pierwszy mnie poznał, nazywał się Dzulbers, zaczął się kasić, liźać mnie pełzać koło nóg tak, że to była ogromna radość. Nie mogłem w domu

przebywać tak odważnie. Mama mnie umieściła w stodole ~~ixtam~~. Ale chciała mnie przywitać, mężczyzna już byłem, i poczęstować wódką. A to był bimber nalany na pieprzu tureckim, który hodowaliśmy w doniczkach. Jak wypikiem pół szklaneczki, to tak ten bimber podziałał, że rozchorowałem się. Muszę tu wrócić wspomnieniami wstecz. W Prusach wsch. byłem bardzo ruchliwy, wszędzie mogłem jeździć rowerem, konno, spotykać się z Polakami, bo mi nikt nie utrudniał. A jeszcze Anna bardzo mi pomagała, bo dobre papiery mi wyrobiła. Zostałem wciągnięty do organizacji Orka Białego. W tej organizacji na terenie Prus wsch. była tak ścisła konspiracja, że znało się tylko jednego człowieka. I to była można powiedzieć dwójka. I ten miał prawo wydawać rozkazy i przyjmował sprawozdania. I nie wiadomo czy znało się jego prawdziwe nazwisko. Przychodził do mnie i w mundurze niemieckim i po cywilnemu. Biegłe mówił po polsku, mówił że, jest Polakiem i pracuje dla podziemia polskiego. Zrozumiałem później że tak było naprawdę. Nie tak, jak dziś słyszy się, że Biały Orzek działał wspólnie z Niemcami przeciwko Polsce. Nieprawda, sprzeciwiam się temu. On ostatni raz przybył do mnie gdzieś na tydzień przed moją ucieczką i powiedział - musisz bracie uciekać i to zieloną granicą. Was wysyłamy pięciu, nie wiadomo, który z was śótrze na Wileńszczyznę. Nie wiedziałem kog o wysyłają jeszcze. -Każdy z was ma swoje zadanie. Nauczył mnie mówić na pamięć pewne zadanie, którego i teraz nie chcę wypowiedzieć, bo to nie ma sensu, ale to było związane z naszą konspiracją partyzantki polskiej AK. Powiedział mi tylko, że mam się spotkać z dowódcą okręgu wileńskiego i nie wyjawiać mi wtenczas, że nosi on pseudonim Wilk, a powiedział prosto jego nazwisko - z Krzyżanowskim, co mi bardzo później utrudniło w Polsce po przyjeździe na nasz teren. -Przekazać jemu to co mi ustnie powiedział, ogólnie treść była taka - w pobliżu Szczytna są dwie bazy, jedna jest utworzona z pewnych wiosek, patrole ją wszędzie niemieckie obstawiały i tam nie wolno nawet mówić po niemiecku, tam jest po polsku. Przy-

gotowuje się tam legion niemiecki, który ma pójść na teren wschodni i rozbić partyzantkę polską. Będzie napadał na ludzi cywilnych, będzie ich grabił, mordował, gwałcił kobiety, ażeby w ten sposób przynosić dla partyzantki polskiej ujemną opinię. Druga baza -wybiera się specjalnie ruskich oddanych bardzo sprawie niemieckiej. Szkoili się ich na partyzantów sowieckich, wypuszcza się ich grupkami po 10 osób mniej więcej i oni mają napadać na Polaków, ażeby w ten sposób skłócić partyzantkę już skłóconą dawno polsko-sowiecką, ażeby wyniszczają się te dwa oddzielne nurty. Druga rzecz dla mnie całkiem nieznaną, ale otrzymałem od tegoż gościa, który ze mną się kontaktował, koszulkę bez rękawów i powiedział - proszę tę koszulkę dostarczyć i temu pułkownikowi wręczyć. Nie można jej prać ani w drodze ani po przybyciu do domu. Nie wiedziałem co ta koszulka ma znaczyć. Myślałem, że może jest jakimś umówionym hasłem. Po przybyciu na mój teren, kiedy jeszcze chorowałem, już ludzie donieśli do pobliskich oddziałów, bo wywiad AK na pewno działał, to była jesień 1942, bo przybyła łączniczka do nas i wręczyła list. Pytała matkę o mnie. Matka powiedziała, że w Niemczech jest w niewoli, bo chciała mnie uchronić w ten sposób. Ona powiedziała - proszę to oddać synowi, on jest już tutaj. Ten list był bardzo krótki - wyznacza się mi teren Klewicy. Tam mam dotrzeć, skontaktować się, było wskazane miejsce jednego z gospodarzy, gdzie mam się stawić, inaczej będę uważany za dezertera. Rzeczywiście tam się stawiłem, po 6 chyba dniach, wręczyłem tę koszulkę, ale źle zachowałem się, ponieważ szukałem ptk właśnie, a już on podobno był generałem, Nie Wilka a Krzyżanowskiego I mnie pytała żandarmeria polowa, skąd ja wiem, że jest na tym terenie Krzyżanowski. Było podejrzenie, że mnie ktoś nasłuchał. Dwa tygodnie byłem u nich zatrzymany i badany bez przerwy. Pytali się o dowódców i t.d. i dopiero w ostatnim momencie skontaktował się ze mną major Powrecki/?/-~~znany~~ pseudonim, nie znam jego prawdziwego nazwiska, który mnie włączył do siebie i powiedział, jakie mam zadanie mieć.

Przeproszono mnie za ten długi czas nękania. Kiedy zameldowałem się jako kapral, to powiedziano mi wtenczas, przy skontaktowaniu z gen. Krzyżan wskim, który powiedział- od dzisiaj jesteście sierżantem, bo was wszystkich przecież 3 września na Westerplatte mianował marszałek o dwa stopnie wzwyż. I ja od tej chwili już zacząłem się nazywać sierżantem. Odesłany zostałem na linię boczną, ponieważ znałem niemiecki, do celów konspiracyjnych i wywiadowczych. Ale kontakty utrzymywałem częste, to znaczy polecenie utworzenia swojej grupy oddzielnej. Miałem utworzyć do 12-tu osób, nie więcej. Przyjmowałem tych ludzi, przeważnie tych, którzy pracowali gdzieś w państwowych instytucjach niemieckich, a wieczorami ubieraliśmy się i zdobywaliśmy to co nam było nakazane - broń zabrać od kogoś, komus sprawić kłopoty za to że współpracuje z Niemcami. Niedługo to trwało. Zostałem później rozszyfrowany na terenie tak, że się musiałem przenieść już do oddziałów bojowych i dostałem wówczas dowódca plutonu szturmowego przy dowództwie I zgrupowania pod dowództwem kapitana majora Pohoreckiego. Tam skończyłem podchorążówkę leśną u niego, to znaczy w Wilnie raczej, bo nie uczono mnie już ataku, zajmowania pozycji wyjściowych a przeważnie literatury cośkolwiek, pisemnych spraw, raportowania, trochę wywiadu, a przede wszystkim zachowanie się jako oficera i w gościnie, żeby nie splamić swojego polskiego mundurka takie rzeczy wychowawcze. Tam zdałem egzamin i otrzymałem stopień podporucznika. I z tym podporucznikiem zostałem cały czas już do końca mojej działalności w AK. Tam zostałem odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy za rozbicie konwoju niemieckiego i zabranie wiekiego skarbu, który przewozili, w tym sztaby złota, marki niemiecki złoto rosyjskie i innych rzeczy nieprzetopionych, pięknych ze złota. Miałem taki rozkaz, może to było za karę dla mnie, ponieważ otrzymałem dwa dni urlopu. Pojechałem do domu, a przebyłem trzy dni. Można mnie było pod sąd polowy, po przybyciu otrzymałem jako westerplatacz lżejszy wymiar kary - zdobycie jednego samochodu. ciężarowego.

Wybrałem się ze swoim plutonem na teren. Obsadziłem ten teren od Oszmiany do Wilna. W miejscowości Łuk, a ponieważ tam było siedlisko drogowe, od Oszmiany jechało się w dół o jakiś kilometr i od Wilna w dół jechało się kilometr. A tutaj był w wykopie, wykonany wykop zaraz przez las w górę, zwórnany spadek przewidziany dla jezdní. Na tym zgrupowałem cały pł swój pluton prawie, pościnaliśmy kilka brzósz, to był maj/miesiąc, w którym obchodzę imieniny, a także miesi różnych korzyści dziejowych dla mnie/. Za brzózkami ustawiko się rkm-y, kłkkm-y i ustawikem na krzyżówkę jeszcze po drugiej stronie drogi. A wtenczas Niemcy bali się już bardzo partyzantów i od Oszmiany była bariera, przy niej zatrzymywali wszystkie samochody jakie szły. Jak się zebrało ich 10 czy 15 to wtenczas jechały dwa tygrysy jeden z przodu drugi z tyłu i przeprowadzali w ten sposób do Wilna, a od Wilna brali drugi konwój i przeprowadzali do Oszmiany. I tu tak samo było obstawione. Ale ponieważ te wozy oni wypuścili wtenczas bez konwoju czołgów, dlatego że jechało aż 4 samochody wojska niemieckiego, ale przeważnie Austriacy. Każdy samochód był zakryty płótnem, a w ^ś rodku po 25 żołnierzy. Zatrzymałem te samochody, ostrzelalem je, część została zabitych i rannych, a zabrałem z przodu, pierwszy jechał motocykl -został ostrzelany i zapalił się, a za nim jechał zwykły osobowy samochód i on właśnie przewoził ten skarb. Z tego samochodu wysiadło dwóch oficerów niemieckich, jeden chciał użyć broni, podniósł tylko pistolet, kolega mój strzelił i zabił go, a drugi, SS-man ręce podniósł i poddał się. Bardzo był korzystny człowiek. Myśmy mieli zadanie SSmanów i SA likwidować, ale ja pomyślałem, że może się przyda i rzeczywiście przydał się. On został później w naszym oddziale partyzanckim, nawet ze mną razem później dostał się do późniejszej niewoli sowieckiej. Został członkiem oddziału naszego, tak. Jakie prace on miał, trudno mi powiedzieć ale dosyć, że kiedy go do sztabu dostarczyłem, dostalem pochwałę i wspomniany krzyż, z podkreśleniem że i za Westerplatte jednocześnie.

Dziś historię tego Niemca tłumaczę tak, że on nie był Niemcem tylko Flamandem i jednak był wrogiem Niemców, on tu na pewno zeznał wiele, a później dowiedziakiem się od pobocznych kolegów, którzy mi cośkolwiek bąknęli, bo nie w lno było o takich sprawach mówić, że on bardzo wiele wydał różnych spraw, które dla nas były ciemne i nieznane. Czyli zdradził Niemców jako oficer, a w stopniu był majora, a więc wiedział dużo. I został, był w inwigilacji dosyć długo, nawet obierał ziemniaki w naszej kuchni, a później otrzymał oddział swój pod swoim dowództwem, nie wiem jak ten oddział nazywał się i do kogo należał, ale pierwszy raz kiedy był wysyłany, ich było ok. 30-40 osób, to nas dwa plutony zostały wysłane, że w razie gdyby oni chcieli przechodzić, mieliśmy ich ostrzelać. To była pierwsza próba. Brałem też w tym udział. Zaufanie kontrolowane. I jednak oni się wywiązali z tej walki. Przeważnie przyjmowani tam byli Austriacy, uciekinierzy. On ze mną dostał się do niewoli sowieckiej w roku 44 jak i ja. Więc za to otrzymałem krzyż Virtuti Militari a w późniejszym okresie otrzymałem dwa Krzyże Walecznych. Mój pluton wydzielony jako I szturmowy podlegał majorowi Pohoreckiemu bezpośrednio do specjalnych zadań. Pewnego dnia grudniowego 1943 otrzymałem polecenie wyjechać do pobliskich lasów i tam odszukać leśniczówkę, w której skontaktować się z leśniczym, naszym człowiekiem w stopniu kapitana, który pracuje w naszym wywiadzie. Jeszcze dodano, że wystarczy wziąć 12 ludzi najwyżej. Z szeregu wywołałem najchętniejszych i tylko kawalerów wziąłem ze sobą i wyjechaliśmy wszyscy konno. Wyjechaliśmy rano o 5-tej, w grudniu jest jeszcze noc. To było ok. 70 km, dojechaliśmy mniej więcej na 8-uą. Przybyłem pod leśniczówkę, która była otoczona drutem kolczastym na wysokość 2 metrów, brama była otwarta na oścież. Budynek był drewniany, ale nie miał żadnego podestu, stopnie schodów były bezpośrednio od podwórka do drzwi. Wchodząc do środka, musi należało przekręcać się na tych schodach, bo drzwi były na zewnątrz otwierane i przeszkadzały. I to mi spr-

wiżo później trochę kłopotu. Ale wjeżdżając jeszcze do tej leśniczówki, kazałem objechać dwóch żołnierzom dokoła i sprawdzić czy jakieś ślady są wychodzące lub przychodzące na śniegu. Nie znaleźliśmy żadnych śladów. A więc byłem pewny, że nikogo w leśniczówce nie ma. Rą Paściżem przy bramie wodze dla swojego luzaka i powiedziałam - pamiętajcie, żebyście mnie owsa nakrali i koniozyny, bo bardzo konie lubiłem i pamiętałem o nich, bo przecież one często dzieliliły z nami swój los. Z tego też powodu oni odjechali wszyscy w dziedziniec, a ja spokojnie idę do tego domu. Na przodzie mam przewieszane niemieckie MPI, w kożuszku biały jestem. Wchodzę, otwieram drzwi, trudność mi sprawia wyminięcie ich. Drzwi były otwarte, nie zamknięte. Wchodzę do brodka i niestety od razu widzę 6 oficerów sowieckich w białych kożuchach, siedzą na stożem, nawet nie rozebrani, tylko jeden z nich na brodku pokoju gra na skrzypcach i przyspiewkę rosyjską daje, że my jemy i pijemy, a za chwilę leśniczego zabijemy. Leśniczy, ten nasz kapitan, był związany, na połodze leżał i jego córka była lat ok.20, może dwadzieścia kilka, podobnie była łączniczką. Zaskoczony zostałem, nie wiem co zrobić. Podnoszę rękę i powiedziałam - ja towarzysze do was na pieręgawor. Na stole stało wócki dużo, jeden za stożem wydoostał szyko nagan i do mnie dwa razy strzelił. Nie zostałem trafiony, ale kożuszek został w jednym miejscu przetrzłony, a ja oszołomiony zostałem tym strzażem, straciłem się. I plecami wypadam na schody/myślałem że jestem zabity/. Ktoś się będzie śmiał, słuchając tego, ale tak się zdarza człowiekowi. Upadłem na śnieg, ale jeszcze zdążyłem skierować MPI w jego kierunku, jednak zacięło się. Odblokowało się, kiedy upadłem. Wiadzę, że z okna wyskakuje pierwszy. Ich dwa strzaży zaalanawały moich żołnierzy, którzy wpadli od tamtej strony do leśniczówki i wrzucili do pokoi przybocznych granaty. Pokój zapalił się, huk ogromny, szyby wyleciały i tu zaczęli oni uciekać, bo zobaczyli, że z tamtej strony jest więcej. Ucieka ten jeden przez okno, przeciążem go z tego MPI w poprzek,

na oknie został, Drugi przez niego wyskoczył po mojej stronie i biegł w kierunku płotu, posłałem za nim strzał, może jeszcze ktoś posłał, dostał, bo widziałem że krwawił, ale jeszcze taki był zręczny, że przeskoczył przez płot i uciekł tak, że końmi dopędzić nie można było, gdyż trochę szron trzymał na powierzchni - zamarznęty śnieg, pieszego utrzymywał, a koń zapadał się w śnieg i nie można było szybko jechać. Później nastąpił większy bój, przybyło ich więcej do nas, ale i nasze oddziały zostały zaalarmowane. Bój trwał cały dzień, aż Niemcy zaczęli bombardować stronę partyzantów rosyjskich, nam co prawda nie robili krzywdy, ale myśki powstrzymali się wówczas, wycofali i zrobili zasadzkę na wycofujących się Niemców. I rozbiliśmy Niemców. /Oprócz tych oficerów, gdzieś w pobliżu były ich oddziały?/. Tak, w tych lasach. Bez ubezpieczenia przybyli, bo byli pewni siebie. Później zorientowałem się, że Rosjanie chcieli podporządkować wszystkie nasze oddziały swemu dowództwu. My jednak czuliśmy się gospodarzami na naszym terenie i nie chcieliśmy się podporządkować i dlatego nie można było nigdy dojść do porozumienia z nimi. Ja jeszcze będąc w lagrach niemieckich spotykałem część naszych polskich żołnierzy odsyłanych do stalagu 1A przez Rosjan, do stopnia kaprała. Opowiadali mi o trudne sprawy, jak tam ludność cierpi nasza, o ich niesprawiedliwości. Często nie wierzyłem, gdyż nie znałem wówczas jeszcze Rosjan bolszewików. Po przyjeździe na naszą Wileńszczyznę i włączeniu się do partyzantki, zorientowałem się, że to ludzie z którymi nie można się domówić, ani nie można z nimi utrzymywać żadnych konwencji czy porozumień, bo zawsze będą żałali. Wówczas leśniczy został oswobodzony, bo budynek z tamtej strony zaczął się palić. Żołnierze moi oswobodzili kapitaną, przywieźliśmy go z córką, na ich własnych koniach z sankami i przyjechaliśmy do naszego oddziału do Pohoreckiego. Co później kapitan robił, tego nie wiem, nigdy więcej z tym człowiekiem się nie spotkałem. Tej łączniczki także później widziałem, może mieli

jakieś ważniejsze zadanie. I za tę akcję otrzymałem mój pierwszy Krzyż Walecznych. Z innych wydarzeń: byłem w okolicach między Oszmianą a Wilnem, później zbliżyłem się bardziej do Polan za Oszmianą i otrzymałem wiadomość, że na drodze pokazała się partyzantka sowiecka, która zabiła naszych dwóch żołnierzy, którzy jechali tam przypadkowo i dwóch naszych kierowców zatrzymali, to znaczy naszych ludzi, którzy pracowali u Litwinów w przewozach wszelkiego rodzaju jako kierowcy samochodów, ale to byli AKowcy. Pokamali im nogi i ręce, nie zabijając. Mój pluton szybko posunął się, był dość spory bo liczył wtedy ok. 60 ludzi, a ich było ok. 170 osób, przeważnie kobiet i to najwięcej Żydzi byli w tej partyzantce. Nie zabijaliśmy ich, tylko z dwóch stron okrążyliśmy i chcieliśmy po prostu popędzić ich. Odebraliśmy swoich ludzi i popędziliśmy tych partyzantów w kierunku Wilna, oni szli szosą, bo bali się na boki gązieś skręcić. I po prostu sami przeszli na stronę niemiecką, ci Żydzi i Rpsjanie. Co z nimi zrobili tego my nie wiemy, ale nie mieli możliwości cofnięcia się. Wzręwąę mieli liczebna, walki z nami podejmowali, ostrzelali się. U nas nikt nie poniósł śmierci, czyli chaotycznie strzelali. A myśmy ich nie ostrzeliwali, tylko po prostu trzymaliśmy ich w szachu, żeby na boki gązieś nie odskoczyli, bo chcieliśmy ich skierować w kierunku naszych Miednik, tam gdzie były większe zgrupowania żeby ich sidentyfikować, co to za grupa jest. A oni nie chcieli nam się poddać.

Jeszcze słynna sprawa. Sylwester. Sylwestra Niemcy obchodzili bardzo pięknie. To był wieczór sylwestrowy, na Nowy Rok rano. Zgromadziliśmy swoje siły, ponieważ w tych okolicach był z Oszmiany dowódca żandarmerii kriminalpolizei, ale litewska sauguna czy jak. Przeżywalismy go małpą. Bardzo był zdolny czkowiek i chytry tak, że jego porwać nigdy nam się nie udało ani też zlikwidować. W pobliskiej miejscowości pod Murowaną Oszmianką zapoznał się z jedną z naszych dziewcząt Polek, z taką szlachcianką zaciąnkową, która miała nawet spory

majątek ok. 100 hektarowy. Ona go widocznie pokochała. Myśmy z nią nawiązywali kontakt, żeby ona nam pomogła go przykopać. Jak kocha go to nie przekaze, ale chociaż dowiedziała się różnych rzeczy od niego. Nie chciała. Powiedziała, ja z bandytami nie będę pracować. I to powiedziała Polka, wykształcona dziewczyna. Rodzice byli skromni i mili, ale nie mieli wpływu na swą jedynaczkę. Więc postanowiliśmy my jednak zacząć się u niej., i przypakopać go, on co sobota przyjeżdżał. Pewnego razu przybyłem z 20-toma ludźmi, obsadziłem stodołę wszystko. Przyjechał, 10-ciu razem z nim/sam nigdy nie chodził/Litwinów. Zaczęliśmy ostrzeliwać się wzajemnie, ale niestety poległo ich chyba sześciu, a reszta z nim razem ukryła się gdzieś, uciekło. Następnego razu przyjechałem z nią nawiązać kontakt, żeby ona nas powiadomiła, kiedy on przyjedzie. Nie chciała, ale powiedziała że w taki i taki czas przyjedzie. Przybyłem znowu z rozkazu majora Pohoreckiego. Obsadziłem swoimi 10-ciomą żołnierzami stodołę, a 10-ciu zatrzymałem w pobliskim zagajniku jako odsiecz. Niestety wtenczas ta pani nas zdradziła, powiadomiła i przybył oddział liczebnie duży ok. 50 osób, 3 Niemców było z nimi i Litwini, Białorusini. Podjęli chaotyczną walkę, Straciłem wtenczas aż 13 ludzi. Wycofałem się z tymi pozostałymi siedmioma w ostatniej chwili, a bylibyśmy wszyscy polegli tam. Osądzono ją i skazano na karę śmierci. Jeszcze kilka razy przyjeżdżałem, żeby ją namówić. Jednak został na niej wyrok wykonany. Natomiast on zebrał wszystkie siły na Sylwestra i wtenczas Niemcy przygotowali wielką obławę na nasze oddziały. Taka była dolina Przygotowaliśmy się w zagajniku, w śniegu, wszystko mieliśmy przykryte białe. Przygotowani na skraju, w pozycji wyjściowej. Czekał Jechali na furmankach chłopskich, chłopci ich wieźli. Nie można było otworzyć ognia, można było w dolinie pokrzyć ich wszystkich prawie ale szkoda było furmanek, koni, tak że nie było rozkazu otwierania ognia. Na sam prawie wschód słońca oni podjechali bliżej nas, ok. 400 m i furmanki odesłali. Wówczas stali się dla nas dobrym obiektem

do strzaku. Już przygotowanie u nas. Oni tyralierę zrobili i ruszyli na ten las. Wtedy stworzyliśmy ze wszystkich stron ogień. Bardzo wielu poległo, dużo Białorusinów, ale nie tyle cc Litwinów, bo Białorusini od razu białą płachtę pokazali, że chcą nam się poddać. Łącznik powiedział im, żeby skierowali ogień przeciwko Litwinom. I rzeczywiście ok. 30-tu przeszło na naszą stronę. U nas prawie nikt nie poległ. Na następny dzień zostałem wysłany, ale jeszcze cofną się trochę. Niemców nie było wielu, żandarmów niemieckich było bodajże 6-ciu, chyba trzech poległo, dwóch myszy zabrali żywcem do niewoli, a jeden był ciężko ranny i jego na furmankę wiejską ułożyliśmy i napisaliśmy list, żeby nam z więzienia oszmiańskiego wypuścili pewne osoby/to nie ja robikiem dlatego nie znam szczegółów, to dowództwo/. On pojechał, zaraz tantych z więzienia wypuszczono. Następnego dnia, bodaj 2-go stycznia otrzymałem rozkaz wyjechać po cywilnemu do Oszmiany i sprawdzić jak będzie wyglądał pogrzeb, policzyć wszystkich zabitych. Przyjechałem. To była wielka świetlica, trumny ustawione były szeregowo obok siebie. Na ścianie pośrodku niemiecki sztandar ze swastyką, po bokach ukośnie sztandary białoruski i litewski. Zglądając do trumien, polegli masę mieli ran wata pozatykanych z tego słuchacz mój zorientuje się, że do różnych celów byłem przeznaczany. Po cywilnemu trzeba było jak i p. wojskowemu do niektórych okolic wjeżdżać.

38

Chcę jeszcze opowiedzieć o jednej akcji słynnej na naszym terenie, zdobywaniu Murowanej Oszmianki. Mój pluton był wyznaczony od szosy mniej więcej Oszmiana-Wilno, natarcie miałem w kierunku Murowanej Oszmianki. Murowana Oszmianka obsadzona była ok. 1800 Litwinami z pomocniczej dla Niemców armii Plechaviciusa. Tam było wewnątrz i trzębę Niemców. Miejscowość ta była obmurowana blindażami wykonanymi z drewna i obsypanymi ziemią. Było to trudne do zdobycia. Ale nasze oddziały rozpoczęły swoją działalność 8 maja 1944 roku i zdobyły

Murowaną Oszmiankę. Po zdobyciu puszczaaliśmy Litwinów jeszcze w ubraniu, ale Litwini pobierali broń porzuconą, a więc rozbieraliśmy ich do naga, zostawialiśmy im jedynie kalesony, ale jeszcze nożem ucinano się guziki, ażeby ręce miały zajęte i kierowaliśmy na szosę w kierunku Wilna. A Niemcy robili im zdjęcia. W ten sposób, po upadku Murowanej Oszmianki, przyspieszyliśmy likwidację tej 100-tysięcznej armii litewskiej, a Fleckavichus został aresztowany. To był wielki sukces, słynny na naszym terenie.

Jeszcze mój oddział dołączył do innych oddziałów, które brały... Werena, miejscowość położona w kierunku Michaliszek, brała udział w zdobywaniu tej Wereny. Jednego razu dopuściliśmy tak mocny szturm, do samego rana trzymaliśmy i odjechaliśmy. Nam lekarz, tamtejszy lekarz między Litwinami, których ich i Niemców leczył, a był naszym człowiekiem powiedział, że gdybyśmy jeszcze 5 minut wytrzymali w natarciu, to oni byliby się poddali. Ale niestety musieliśmy odjechać. Rozkiliśmy Werenę następnym razem, bardzo wielu poległo. Z mojego oddziału nikt nie zginął, czułem się bardzo szczęśliwy, bo jak straciło się choćby jednego z kaiserza to same łzy ciekły z oczu, serce bolało, tak czułem się związany ze swoim oddziałem.

Akcja Ostra Brama. Jak wiadomo Rosjanie posuwali się od Wschodu dość szybko za Niemcami. Niemcy wówczas już wycofywali się z naszych terenów, nawet jak mój pluton często patrolował szosę od Oszmiany do Wilna, to można było zaobserwować ich odwrót - czterema sznurami ciągnęły wojska niemieckie w kierunku Wilna. Tylko lewą stroną jechały bardzo słabe oddziały w kierunku frontowym. Do Burzy przystąpiliśmy 6 lub 8 lipca. Zostałem przydzielony na ten okres do tzw. Ojca jako adiutant, bo rodzony brat Ojca był oddelegowany/pseud. Goryl/. Ja zająłem jego miejsce. Nasze oddziały zostały skierowane w kierunku Krzywego Koła, Belmont w Wilnie. Tam brałem udział, tam było przeważnie natarcie niemieckie cząłkowe. Trzeba było walczyć z cząłkami. Tam właśnie mój dowódca Ojciec poległ, został przecięty

w pół z ciężkiego karabinu maszynowego. Ale wiele człgów spaliliśmy za pomocą butelek i granatów, bo nie mieliśmy innej broni przeciw Żgom. Akcja trwała bodajże do 13 lipca. 13 lipca było całe Wilno wyzwolone do Wilii. Jedynie po drugiej stronie rzeki jeszcze odziały niemieckie były. Już tam wspólnie z Sowietami dobijaliśmy Niemców i uwalnialiśmy całe Wilno. W Wilnie powstały wówczas nasze szpitale wojskowe, patrole nasze na ulicach, komendantura polska powstała i 11-osobowy Rząd Polski Tymczasowy. Delegat na kraj został przykany i urzędował w Wilnie po tej akcji Ostra Frana. Po kilku dniach już po ustaniu walk, zostałam wysłany do sprawdzenia naszych ludzi, którzy zostali ranni i znajdowali się w szpitalach. W pobliskim szpitalu wojskowym rosyjskim znajdowało się naszych ok. 6 czy 7 żołnierzy, przywiezione dla nich pół jałówki na ciężarowym samochodzie. Drugą połowę zawiozłem do naszego polowego szpitala. Tu znowu paru ruskich leżako także. Wracając stamtąd koło stacji towarowej w Wilnie, zwrócił moją uwagę wielki afisz. Uszyty był z 10 noże płóciennych przecieradek i na tym namalowano olejną farbą p. stacie walczące, cywilne postacie z widłami, siekierami, gwizdą mające na czapkach sowieckie pięcioramienne i niektórzy Pogór litewską mieli też przy czapkach. A u góry napisano po rusku w ten sposób: partizanty litowskije wiaestie z biełoruskimi osoboždali oswoboždali gorod Wilnias. Nie ma żadnej wzmianki o AK. Przecież te odziały białoruskie litewskie nie istniały i nie brały żadnego udziału. Od razu zrozumiałem, że to jest kłamstwo rosyjskie, że już nas chcą poniżyć w pewien sposób, odebrać to prawo, tę walkę krwawą, bo przecież bardzo wielu partyzantów poległo w obronie Wilna. Natychmiast zam powróciłem, zam meld wałem dla Pokoreckiego, bo z nim przeważnie te kontakty utrzymywałem. On powiada, już wie o tym i nasz dowódca Wilk pojedzie na Forulanek rozmowy prowadzić z gen. Czerniach wskim/bo to on to wszystko zarządził, jemu te wojska sowieckie podlegały/. Rzeczywiście pojedzał. Nasza zebrała się odprawa dokładnie we wsi Jodziszki,

tam gdzie mój pluton stacjonował, odprawa oficerów i starszych podoficerów i zostało ogłoszone: dzisiaj o godz./dokładnie nie pamiętam/ został nasz generał Wilk aresztowany i z nim towarzyszący mu dwaj oficerowie - i wywiezieni zostali do Moskwy. My musimy natychmiast wyjeżdżać do Puszczy Rudnickiej i dążyć w kierunku Warszawy, na powstanie warszawskie szykować się. Wszystkie nasze oddziały zaczęły szykować się, maskować swoje miejsca postoju, likwidować ubikacje, zasypywać, żeby nie było śladów specjalnych. I ruszyliśmy. Mój pluton szturmowy został wyznaczony jako szpica przednia przy sztabie. Wyznaczyłem kilku żołnierzy do szpicy przedniej, sam za nimi z plutonem całym posuwałem się i szperaczy bocznych wyznaczyłem. Gdzie tylko nie podejść kawałek, kilka kilometrów - stoj, po rusku, kto idiot? Polskie partizanty. Kuda wy idiotie? Tajnowojennaja. Kamandujuszczie na pieregawer. Podchodzę do nich bliżej. Kuda wy idiotie? No, tajnowojenne. Znajecie, żołnierz prosi prawie z płaczem, mnie prikazali do was strzelać, ale że ja nie chcę do was strzelać, bo przecież i wy się bijecie z Niemcami, to może przejdziecie tam, bo mnie zabronili. Przechodząc, widziałem, zawsze był zakopany czołg tyłem, artyleria przyszykowana do ostrzeliwania naszych terenów. Po prostu dookoła byliśmy okrążeni. Przed rankiem dojechał do mnie ppłk, ja go nie znałem, przedstawił mi się jako Wilczur. Podjechał konno, dawał mi na bok i powiedział, kolego Kim Kotwica, proszę rozpuścić swój oddział, kto gdzie chce, niech sobie idzie, a kto zostanie, będzie chciał dalej zostać w oddziałach, to proszę z nimi się kierować w stronę Puszczy Rudnickiej. Powiedział jeszcze, że Sowieci zabrali wszystkie nasze samochody ciężarowe i te, na których przewoziłyśmy żywność, ubrania, maszyny do szycia, ponad 300 krów od Niemców odebranych, też to wszystko Rosjanie zabrali. A więc tylko pozostał mój pluton szturmowy z samego przodu jako szpica. Tak mi powiedział. Rozpuściłem ten oddział i przyglądałem się swoim żołnierzom - niektórzy z żalem zbierali porzuconą broń i odchodzili z tą

bronią do lasu, ale nie dołączali do mnie, tylko do lasu, do krzaków pobliskich chowali się. Zbierał 3-4 karabiny na plecy, jakiś pistolet zabierał i szedł w swoją stronę. Inny znów wyrzucał wszystko, a tylko w pistolecie jeden nabój zostawiał dla siebie, za pasek wsuwał, zrzucał mundur, koszulę i gdzieś też odchodził. Szkoda mi było bo byłem zżyty z tymi z knierzami, płakać prawie mi się chciało. Przy mnie tylko pozostał podch rąży Wiesław/pseud./, pochodził z Częstochowy i jeszcze Mackiewicz, to nie był z knierz, nigdy w wojsku nie służył, był z knierzem akowskim, z wykształcenia nauczyciel, u mnie prowadził kancelarię. A więc był zdolny jako wykształcony, ale nie był bojowym czł. wiekiem. I jeszcze trzech innych, nie pamiętam nazwisk. O Wiesławie tyle pamiętam, bo on mnie zastępował, był moim zastępcą. Lecz także zbuntowali się przeciwko mnie, ale nie od razu, nad sam ranek weszliśmy przy takiej smutnej łące położonej wśród pól była kupa kamieni wyrzucona z tego pola, jak to u nas nazwano p spolicie - krusznia, na wierzchu obrośnięta kosa i stwarzała taką wielką kępę zieleni, a pod tym można było na kamieniach przesiadywać i człowiek nie był widoczny ani z samolotu ani też od jakiegoś obserwującego żołnierza. I stąd właśnie lornetką patrzyłem na drogę Rūkūn Rudomin-Wilno, gdzie rozbrajane były nasze oddziały większe. Tam stali na szosie żołnierze nasi bez broni, niektórych Rosjanie bili, to znaczy podchodzili do nich i uderzali, to bardzo dobrze widziałem, bo miałem do tej szosy nie więcej jak kilometr odległości. I otóż podporucznik Łysek, kiedyś w Wilnie był on właścicielem szkoły tańca i on właśnie był później łącznikiem sztabu. Jeździł na dużym motocyklu. Przez swoją lornetkę widziałem dokładnie, podjeżdżał do tych szeregów, a żołnierz rosyjski na koniu przeskoczył z przodu przed nim i serię puścił z automatu. Ten zwałił się na bok, jeszcze z daleka widziałem jak koła się kręciły, ale jeszcze Rosjanin przez niego przeskoczył raz i jeszcze cofnął się i posłał kilka strzałów. Niezależnie od tego posypały się z

samolotu ulotki, nieduże wielkości kartki zeszytu, z tekstem po polsku mniej więcej takim: Czerwona Armia nie wyraża zgody ażeby jakiegokolwiek siły zbrojne organizowały się na jej zapleczu. W związku z tym poleca wszystkim skłóżyć broń, poddać się do niewoli. I tu chcę zauważyć, że nie tak jak mówi się u nas internowani byliśmy, bo niewola jest co innego, a co innego internowanie żołnierza. I dalej bo w innym wypadku zniszczymy. Tymi ulotkami był zasypany cały teren. Moi koledzy po przeczytaniu tych ulotek zrzekli się, że nie będą już żołnierzami także. Zrzucili swoją broń, pozrywali odznaczenia, namienienniki, ale przecież munduru nie mógł zrzucić. Jak pasek koalicyjny miał i od słońca mundur zrobił się bledszy, to pod paskiem był ciemniejszy, to jednak było widoczne. Guziki sobie powyrywał, ale przecież widać, że powyrywane. I zaczęli ode mnie się odłączać - powiedzieli prosto ordynarnie - panu podlegaliśmy kiedyś, ale teraz to pan nad nami nic nie ma, zresztą pan taki rozkaz otrzymał. My pójdziemy swoją drogą, a pan niech idzie swoją. Ja ruszyłem swoją drogą, nie do lasu, tylko w pola, bo jeszcze żyta były nie koszone. Kombinowałem iść ścieżkami, wiedzami wśród pól, żeby nie być tak widocznym, ale zaraz z nienacka znalazł się nade mną samolot kukuruźnik. Rzucił niedaleko ode mnie granaty, a może coś innego zauważył. Bardzo nisko leciał, widziałem jak wychylony z czerwonym otokiem siedział enkawudzista i rzucał na ziemię. Wtenczas zakokował, jeszcze po mnie puścił serię z broni pokładowej, ale nie trafił mnie, bo ja w brudzie się wywróciłem na wznak i leżałem tak jakby zabity. Jeszcze raz prawie kłami nad samym żytem przeleciał, ale już nie strzelał, uważał, że ja zabity. I w ten sposób uratowałem może swoje życie spokojem. Podniosłem się i patrzę, moi koledzy poszli, do nich nie strzelał, do tych pięciu co szli w kierunku lasu. Więc zawołałem do nich - chłopaki, przecież tam do lasu prowadzą linie telefoniczne. Tam musi ktoś być, albo Niemcy jeszcze są albo Rosjanie. Pójdziemy lepiej polami. Nie, tu pójdziemy. No dobrze. Widzę, że

samotnego żołnierza zawsze zabijają, trzeba dołączyć do grupy. Dołączyłem do nich i szliśmy razem w kierunku lasu. Polna droga w lesie rozszerzała się w rzęce jakby polankę. Tam, patrząc, stoi ze sześciu chyba oficerów sowieckich, rozkraczonych, w brezentowych butach, stoją i na nas patrzą. Podchodzę - zadrastwucie, oni mi odpowiedzieli. Pytają, kto ja jestem. - Polski partyzant. Dokąd idę? Idę do Wilna, chcę złożyć broń. Wy zdies' oddacie swoje orużie. - Choroszo. Zdejmuję MPI, oddaję, otwieram kaburę, wyjmuję parabellum, oddaję. Ale oni mówią, kaburę zdjąć. Zdjąłem kaburę. Pasa mi nie zabierali. Finkę też chciałem oddać. Ale powiadają, ostaw siebie. A czym tu budiesz chleb rezat'. Zr zumiałem, że będę jednak osadzony w jakimś więzieniu czy areszcie. Oficer powiada do niższego, lejtenanta - napi szitie mu sprawozzku, czto orużie zdał wsio w poźnosti. Zwrócił się następnie do moich kolegów. A wy co? - A my uciekliśmy od bańbieszki/?/. Nie wtrącałem się, nie mówiłem, że to moi ludzie, jak oni tak chcą to coś nam za nich mówić. Oni tłumaczą, że uciekli z bombardowanego Wilna i teraz chcą wrócić do Wilna. Zaczęto ich okładać pięściami tak, że kilku upadło. A mnie skierowali - idźcie do lasu, tam ciebie przyjmą. Wszedłem do lasu, tam było już naszych kilku oficerów, niewielka grupa około 30-tu siedziała na ziemi, a ich piln wało 2 żołnierzy rosyjskich. Kilku miało zabandażowane ręce, nawi nogi, ale ubrani elegancko w mundury nasze polskie od a do z, tak jakby na urlopie byli. Było między nimi sporo i szeregowych. Dołączyłem do nich, jeszcze rusek mówi - sadis'. Usiadłem, zrzuciłem z siebie mundur, a na sobie miałem koszulkę bez rękawów ze zrzutu francuską czy angielską. I wystawał mój zegarek ręczny. Jeden rusek podchodzi do mnie, wyjmuje z kieszeni zegarek srebrny i mówi - pomieniam czasami. A ja, pomieniam ty z koszkój. On wtedy, ty jobanyj wrot, ja tiebie budu wiesti siejczas w Miedniki i strielu i czasy i tak moje budut. W tej chwili przechodzi jakiś oficer rosyjski, to znaczy pułkownik. Zrywam się na równe nogi, staje na baczność i

mówię , towarzysze pułkownik, razraszitie k wam obratitsia. Pożaksta Stanaż. -Wasziz bojec mnie ugrazajet, czto ubijot za to, czto ja nie chozczu z nim czasami mieniat'sia. Katoryj? Etoj. On mówi wten- czas, bojec siuda. Bojec biegnie, ale już prosi, towarzysze pułkow- nik, rozraritie, razraszitie. Pada na kolana przed nim. Pułkownik przywołuje dwóch żołnierzy i mówi - wziat'ot niewo oruzie. A do wino wajcy -idi sobaka, bo on do butów już prawie dopełzał. Polaki z nam idut pleczok w pleczok w Berlinu, a ty chozczesz strelat do Polaka, tak ty stielaj do Germanca. A do żołnierzy - wozmitie jowo i rostri- lajtie. Nie wiem czy to zrobili , czy też to był obraz sceniczny dla mnie pokazany. Poprowadzono nas do Miednik, rzeczywiście. Przydzielono nam całkiem innych żołnierzy, takich którzy nie umieli ani po rusku ani po polsku. Ormianie czy inni. Też dwóch dali, oni nas prowadzili z automatami. Wówczas bardzo wielu uciekało. Ja chcia- łem zaryzykować, ale po prostu wewnętrznie, zawsze żyję swoimi uczu- ciami, coś mi zabraniało uciekać i nie uciekałem. Omijałem jedną wieś, akurat przy samym domu przechodziłem, a tam była wielka zabawa. Tańcowali, jakiś patefon grał płyty rosyjskie i jeszcze piosen- kę Katiuszę. Do nas wybiegło stamtąd kilka osób. To na pewno ludzie, nasi, ale obrzucali nas stekami wyzwisk - co bandyci, dostaliście już za swoje. Uważam, że to była ludność prawosławna, ponieważ między sobą rozmawiali po rusku. Z wami już koniec, przestaliście nam zabierać zegarki i pierścienie. Tego nigdy nasze oddziały pol- skie nie czyniły, to plugawe było oskarżenie nas, niesłuszne. Milcza- łem przechodząc, bo cóż miałem im powiedzieć i nni też. Szliśmy spo- kojnie. Doprowadzono nas do Miednik. Już tam było bardzo wiele żoł- nierzy AK. Tam na razie przy bramie nie stali jeszcze wartownicy. Miedniki, to jest dawny zamek królewski Kazimierza Jagiellończyka. Ale już nie było zanku, pozostały jedynie mury obronne wysokości 6-7 m, o grubości 2-3 m i tylko posiadały bramę. Wewnątrz były post- wione 3 czy 4 baraki, ale ponemieckie jeszcze. Na jednym z baraków

było napisane - uchwałok podoficerskiej, a na drugim - uchwałok oficersk^j
Zajrzałem tam dla ciekawości. Otóż tam siedział w podoficerskim
podoficer starszy nasz Polak, przy stoliku przy drzwiach i kto chciał
się zapisać do tego jako podoficer to miał tam już kóżeczko, mógł
sobie spać pod kocem, już dostawał żywność lepszą. Spis, do którego
się zapisać trzeba było, był następujący: liczba porządkowa, imię,
nazwisko, noszony pseudonim, miejsce stałego zamieszkania, imię ojca
i matki, aktualny adres, kiedy dostał stopień, jaki stopień, przez
kogo nadany itd itd itd, ile służył w wojsku, w jakim pułku, a co
robił w partyzantce, na jakim terenie działał. Zajrzałem do baraku
oficerskiego do czego mnie zachęcił jeden z naszych oficerów polskie
czasu nawet dziwiłem się, siedział przy takim samym stoliku jako dy-
żurny, podsunął, kolega zapisze się, bo mnie znał osobiście, tu kole-
ga kóżeczko dostanie, tutaj biały chleb dostajemy, bułeczki i mleko
pół litra dziennie. Ja nie kwapiłem się na to piękne żarcie, wolałem
jeść to co i moi koledzy żołnierze. Nie skorzystałem z tej propozycji
Spałem pod murami, tylko trochę dalej, bo patrole chodziły już po
murach w górze, a więc spadały czasami kamienie na dół. Były wypadki
kilku zostało zabitych, co blisko muru spało. Na kamieniu położyło
się głowę, czy na kimś z kolegów i tak z nimi spałem. Nie miałem już
żadnych odznaczeń wojskowych, wyglądałem tak jak i oni szeregowcy.
Po kilku dniach, już nikt nie chciał się zapisywać widocznie, zaczęli
przyjeżdżać kaziki z NKGB i NKWD, bo byli ci z niebieskimi lampasami
jak i z czerwonymi lampasami. Zabierali pojedynczo kilka osób do
pobliskiej oddalonej o 100 m plebanii i stamtąd dochodziły straszne
krzyki, wycie nieludzkie tych naszych żołnierzy. Co z nimi robili,
trudno mi powiedzieć, ale na pewno zadawali im bardzo wielkie męczy-
nie. Z tymi ludźmi, których zabrali, nigdy więcej się nie spotkałem.
Ani po powrocie do Wilna, ani na terenie ZSRR. /Czy pan był świadkiem
przyjazdu Putramenta i przemówienia agitacyjnego?/. Tak. Podpułkow-
nik przybył, w sowieckim mundurze, ale nasze polskie odznaki miał,

a drugi z nim kapitan. Kapitan, oficerowie starsi, którzy znali go dobrze z naszych oddziałów partyzanckich, mówili że to była ogromna szuja i nigdy nie był oficerem. Oni namawiali, żeby zapisać się do polskiej armii. Wtenczas z naszych oddziałów, przecież to było bardzo duże zgromadzenie, kilka tysięcy może nawet kilkanaście, znalazło się ochotników 180. Ich wyprowadzili do stodoły, tam ich zamknęli w Miednikach we wsi i oni w nocy wszyscy puciekali. Widziałem tę agitację, pułkownik mówił bardzo łamaną polszczyzną. Później już przy bramie zostały ustawione ich ~~straż~~ służby wartownicze, jak też chodzili po murach żołnierze sowieccy pilnując nas. Z tego obozu były możliwości ucieczki jedynie w ten sposób, że do kuchni przywożona była woda w beczkach na sankach. Było amatorów wielu, zakrywali się w tych beczkach i tak przejeżdżali przez bramę. Kilku tak uciekło. Ja nie ryzykowałem. Ponieważ jeden dołączył do Miednik w późniejszym okresie, z moich terenów bliżej Oszmiańszczyzny i opowiedział mi co się dzieje. Każdego złapanego partyzanta naszego partyzantka sowiecka kładła na płot i łamała mu kręgosłup. Plecami kładli na płot, siedali na nogi i na głowę. Sam uniknął tej śmierci, wolał już do obozu, do więzienia dostać się, tu szukał ratunku, gdyż tam bezkarnie działali partyzanci rosyjscy, którzy objęli we władanie nasze tereny, wójtami porobili się, milicją. I ~~z~~ dlatego nie uciekałem. Czekałem co mi los przyniesie. Pewnego razu wyprowadzeni zostaliśmy przed zamek na wielki plac. Kazano nam siadać i czekaliśmy. Policzono nas. Już paczek nie przyjmowano. Kto z krewnych przychodził, nie pozwalano zbliżać się do nas, tylko paczkę brał z knierz i dawał temu który wstał. Jeszcze jaka taka łagodność była, bo ludzie przyglądali się nam. Później sformowano nas w szereg. Wydaje mi się, że trójkami nas prowadzili. Przeszliśmy szosę Wilno-Oszmiana i szliśmy w kierunku Kieny Panińskiej ~~kitym~~ gościńcem, szeroką nie bitą drogą przez lasy, pola. Do Kieny było ok. 20 km, dosyć że długo szliśmy. Myśmy szli w szeregu, mocno skupieni, na ruską metodę, nie tak jak

my na wyciągnięte ręce, a tu trójka prawie na drugiej siedząca, bardzo ciężki chód w takim marszu. Po prawej i lewej stronie żołnierz prawie przy żołnierzu gęsiego szli Sowieci. Niektórzy z nich mieli na karabinach bagnety, a niektórzy pepeszki przygotowane do strzału. Natomiast dalej ok. 50 m tak w prawo jak i w lewo znów gęsiego idący żołnierze sowieccy, ale byli już od siebie oddaleni ok. 50 m jeden za drugim. Każdy z nich miał patelnianego diegtiera przed sobą, broń maszynową ręczną. Co zauważyłem, kałuży było wiele na tym gościńcu. Jeżeli któryś z naszych żołnierzy osmieleł się wyjść trochę z szeregu i zaczerpnąć wody to w kałuży pozostał na zawsze. Doprowadzeni zostaliśmy do Kłeny Panieńskiej, tam załadowano nas do bydłęcych wagonów. Wszystkie okna były zasznurowane drutem kolczastym. Wsadzali nas po 80 osób do jednego wagonu. Nie można było się ani położyć, tylko wszyscy na stojąco, jeden dotykał drugiego. Było gorąco. Trzeba było rozbiierać się do kąpielówek, bo nie mogliśmy wytrzymać z ciepła. Było słychać jak po dachach chodzili żołnierze. Pociąg posuwał się bardzo powoli, może nie więcej jak 10 km na godzinę. Pomyślałem sobie, uciekać. Zacząłem ryzykować, akurat deska leżała pod moimi nogami, wziąłem ją i wyrwałem druty do środka. Nadszedł wieczór, chciano nas sprawdzić czy nas bardzo mocno pilnują. A tutaj z prawej strony naszego kierunku były akurat wielkie mokradła i bardzo wielka skarpa była tak, że miejsce do ucieczki doskonałe. Tor prowadzący nad samą skarpią, jedynie skok dobry i można się kulać na dół z wys. 5-6 m. Na dole mokradła i zakrzaczenia. Pomyślałem sobie, może próbę zrobię. Miałem ze sobą płaszcz zrolowany, szkoda mi było, ale rozrolowałem, zapląłem na guziki i tam na podłodze było trochę słomy czy siana, więc wypchałem tym płaszcz i usztywniłem deską, po czym szurnąłem nim w kierunku skarpy. I wtedy od razu krzyki, strzały-stoj, stoj, krzyk rosyjski. Pociąg zatrzymali, chodzili do wszystkich wagonów-kto od was udrał? Czyli byliśmy bardzo mocno pilnowani. Tak, że nie było nadziei ucieczki. Dopiero 3 sierpnia dojechał nasz pociąg do

Kaługi. Przed Kaługą zatrzymał się ok. 2-3 km i kazano nam wysiadać. I siad na ziemię, bo stojącemu łatwiej uciec. To tylko oni stosowali. Z daleka usłyszałem nasze piosenki wojskowe, orkiestra grała polskie piosenki wojskowe. Zaczęła chyba od Jeszcze Polska nie zginęła, później te wojskowe, stare, legionowe, O mój rozmarynie, Rozkwitają paki białych róż i coraz się zbliżały. Coż to jest? Zobaczyliśmy, szosa do nas idzie orkiestra dęta sowiecka i za nią czy prze nią grupa oficerów rosyjskich, ze 20-tu może. Podchodzi do nich major i zwraca się do lejtenanta po rusku - ty sobaka, job twoju mat', po czto ty ich dierżisz. Eto ženawe brancy prijechali, oni budut z nami bitsia z Giermancem. A wy rebiata, wstawajcie. J. jestem Ukrainiec, powiada, przedstawił się. Ja oczeń lublu waszu piesniu polskuju Ona biedna tam została przepióreczka moja mała i wy ją zaśpiewajcie. Rzeczywiście, humor nam się poprawił. Ustawili nas w szeregi, tamtych wypędzili, ten konwój, taką scenę odegrali jak nie wiem. Na pewno to śmiesznie wygląda i bardzo trudno uwierzyć, że tak się działo. I poprowadzono nas już bez konwoju do starych zniszczonych koszar w Kałudze, gdzie nocowaliśmy na podłodze. Nie było żadnych łóżek, okien, tylko posadzka i to nie wszędzie betonowa, a czasem z gliny i krowieńca czyli kajna. Tam spaliśmy, jeden na drugim prawie leżeliśmy, zimno było, bo dnie były chłodne. Następnego dnia ustawiono nas w szeregi i zaczęto ewidencję spisywać. Gazie w wojsku służyk itd.

4A

I w ten sposób dzielono. Ja akurat znalazłem się - wtoraja rota, wtor je oddzielenije awtomateczikow. Z nas wszystkich został utworzony 131 pułk zapasowy sowiecki, nie polski. Nie wydano jeszcze żadnych ubrań ani też broni. Ćwiczono bez broni i umundurowania. Jak wybierano dowódców, bardzo to było śmieszne. Ustawiono według wzrostu w szeregu. Pośchodzik wówczas oficer sowiecki i wyznaczał, wot ty budiesz komandujuszczij. I często tak się zdarzało, że wybrał

człowieka, który był tylko kilka dni w partyzantce i nigdy w wojsku nie służył. Jakie oni spełniali zadania? Otóż noszenie tylko teczki za swym dowódcą sowieckim. A ten uczył na ruską komendę biegać „np. lewa, pleczok pierod, prawa pleczok pierod. To robiko wśród żołnierzy polskich zamieszanie. Bo przecież prawo, to się podawało przed tym kierunek i zwrot i człowiek jak prawo, to ~~złoty~~ schylał się w prawo, a tu na odwrót, jak prawa pleczok, to na lewo zajście się robiko. Albo na odwrót -lewa pleczok wpierod, to w prawo się szło. Bardzo to było dziwne dla nas i trudne. Chociaż wiedzieli, że byli między nami i oficerowie i podoficerowie, nie wybierali spośród nich. Co jeszcze było śmieszne. Później, kiedy wydali już umundurowanie sowieckie, furażerki, rubaszki, buty amerykańskie co prawda. Ten co nad nami był, podpułkownik, powiedział, że wy rebiata nosicie ~~ukr-~~ ~~orky~~ ~~żki~~ polskie przy czapkach. I rzeczywiście niektórzy sobie te orki polskie poprzyczepiali do czapek, ale guziki były przecież sowieckie. Ale wyszedł sobie na miasto, bo tam już nie byliśmy pilnowani, spotkał oficera, a ten mówił -po kakoj huja ty orka pricapił. Tak mnie kazali, goworili cztoby ja pricapił. Ty jobanyj wrot pricapi gwieźdu. Ja nie imieju gwieźdy. Karandaszom siebie napiszi. A nie, tak z tuszonki zdiejał, z puszek. Ten przychodzi do koszar. Tu go ochrzaniają w koszarach, że na gwieźdę. Nie karmiono nas jeszcze niczym, nie mieliśmy stołowania żadnego tylko kipiatok. Dzieliliśmy się paczkami od rodziny. Jak nie miałem co jeść, to często wybiegałem na bazar, który był obok i tam Rosjanki sprzedawały lepieszki z zienniaków. Ja, powiem szczerze, że nie zostałem rozebrany z munduru polskiego. Mnie mój przyjaciel, lekarz AK, poradził bym zachorował. Zrobiłem sobie zakażenie skóry. A Rosjanie bali się tego, ponieważ u nich prawie 70% było syfilityków, w wojsku, w cywilu, wszędzie. Luex 1 czy luex 2 jak oni nazywali. Wtedy to moje poranienie na muskułach rąk i na udach/lekarz mi poradził, solą zasypywać, blachą przyłożyć na noc/było nabrzmienie i wyglądało jak choroba wenerycz-

na. Maie dlatego nie puścili do kaźni i nie pozwolili nakłóżyć przy-
działowego munduru, a byłem w swoim. Zostałem skierowany na konsul-
tację do Moskwy. Dają mi przewoźcajuszczewo, jakiś starszina, sierżant
I ten sierżant też nie umiał dużo po rusku mówić. A pijak był bardzo
wielki. A koledzy moi, którzy przebrali się w mundury sowieckie, dost-
tali również i mieszok, woreczek. Wsio kładi w etot mieszok, dieńgi,
zegar, co masz. Eto wsio twoja rodina odierżit, tolko adres na nim
napisz. Ale już tego wieczoru były rozbierane mieszki i między sobą
dzielili się. Mądrzejši oddawali mnie. Otrzymałem wtenczas kilka
płaszczy wojskowych dobrych, czapkę, spodnie. Buty miałem swoje
jeszcze piękne oficerki. Mundur zmienilem także na lepszy. Jeszcze
śmieszny fakt. Jesć nie było co, jak zaznaczyłem. Żywiliśmy się czym
się dało. Nawet koniczynek wyrwaliśmy z trawy i jedliśmy. Kombino-
waliśmy różnie, sprzedawaliśmy ubranie na rynku, kupowaliśmy za to
lepioszki i tak przeżywaliśmy. Jak spytaliśmy się swego dowódcy,
kiedy dostaniemy żarcie, powiedział, że Mikołajczyk siejczas jest w
Moskwie i dogowariwajetsia ze Stalinem, nie znamem kak on dogowori
się. Wtenczas bójniemy wiedzieć co z wami robić. Jeszcze byłem tam
w czasie, kiedy dostali broń. Ja nie dostałem broni, bo już byłem
skier wany, ale to przeciągało się. Jednego razu stoję w szeregu/
ale razem z tą całą kompanią przebywałem w koszarach/, podchodzi do
mnie rusek jeden i powiada /szef kompanii/- ty może chcesz butami
pomieniac się, to je dam ci 7 bochenków chleba i 7 śledzi solonych.
i 50 rubli. Zgodziłem się, dlaczego nie. Przyniósł mi też nasze
polskie buty ułańskie czy artyleryjskie, ale bez podeszew, przedep-
tane całkowicie podeszwy. Ja ci teraz nie dam więcej bo tylko mam
pół bochenka i jednego śledzia, ale dam ci wieczorem. Dobrze, zgo-
dziłem się. Co prawda 50 rubli dał. Drugi rusek chce i te buty, to
mu odsprzedałem i te za pół bochenka. I stoję w skarpetkach. A skar-
petki też porwane, palce widać, pięty. Nikt nie dawał skarpetek,
miałem swoje porwane. I stoję w szeregu. Podchodzi do mnie pułkow-

nik i pyta, gdzie buty podszówek. Propiz? Niet, prokussaż. A kto
ot tiebia pokupiz te sapogi? Wot etij starszina. On woża, kapitan
siuda - cztoż on w piat minut niaz sapogi obratno i riemień/bo ja
i pas sprzedazem razem z butami/. A kapitan woża lejtenanta -cztoż
on w 4 minuty niaz sapogi. A lejtenant woża tego starszinę -cztoż
w 3 minuty byży jego sapogi i riemień. Tak on mówi, pajdiom za mnoj
Ja troszeczka się obawiazem, bo mnie gdzieś prowadzik ze miasto.
To nie byży 4 minuty tylko przeciagnęło się do godziny. Za miastecz-
kiem byży domki jednorodzinne. W jednym z nich widocznie on niaszka
wszedł na strych obok pobudowanego chlewika i tam z siana wyrzucił
ni i pas i buty. Ale już to było spleśniałe po wierachu. -Sier! ty
szelaka. Przyszedłem do koszar, oczyścić te buty jakimś tłuszczem
z kuchenki i już tego dnia odjeżdżam do Moskwy. Wtenczas właśnie dos-
tałem obiad, ale nie tu w koszarach, ale obok tw.wojennyj gorodok,
do którego z kilometr trzeba było iść. I ja już z tego wychodzę d
koszar pożegnać się z kolegami i zabrać swoje rzeczy, pędzi za mną
ten sam pułkownik -Wiktor Josifowicz, no i cato, sapogi imiejesz.
Tylko te wasze tytki nie podobają mi się. U nas jak ostropi się nos
to tak musi być -powiaden. M. Ina przerobić-on na to. Pewnie, że
można. -Nie chciałyś se mną na moje buty zamienić się? Na to brezen-
towe. -Czto wy, pułkownik, ja chcęu cztoży sapogi moje po waszym
brukie moskowskim proszli. Tak ja izwiniajus', ja nie chcęu. Kawak
odszedłem, kapitan pędzi za mną. Może tu ktoś pomyśli, że to żart,
a to było naprawdę, aż do tego sierżanta.
Sierżant już więcej nie ponawiał ze mną handlu
bo i tak stracił na tym 50 rubli. Do Moskwy jechał przez Karafamińsk
Tam na stacji zorientowałem się, że odoswy do żołnierszy, że tu jest
w pobliżu szpital wojsenny, do którego żeby się zgłaszała, jeśli
ktoś ranny. Też wojsenny gorodok był w tym Karafamińsku. Miasto położone nad rzeką Narą. Mój przewodnik bez broni, tylko moje dokumenty
na se sobą. Ja mówię - tutaj chodźmy do tego szpitala, nie do Moskwy.
I on się zgodził., był pijany, bo ja sprzedazem tych kilka płaszczy

On bardzo lubił wódkę, upity był doszczętnie i poszedł ze mną. Przychodzę tam. Do kogo? Do naczelnika idę. Na drzwiach pisze - naczelnik wOSPITALA. Pukam do drzwi. Wejditie, ale żeński głos. Wchodzę, zasalutowałem, siedzi major za stołem, kobieta w mundurze majora i po polsku - co ja widzę, polskiego żołnierza. Tak długo nie wiedziałam. Wita się ze mną, podaje mi rękę, jestem jaorem, lekarzem z zawodu, pochodzę z Grodna, jestem Żydówką, tylko już teraz przechrztą, nazywają mnie Marusia. Rozbieraj się. Zrzucam koszulę, mundur, do podkoszulki rozbieram się, ale podkoszulkę też kazala zrzucić. Ramiona były widoczne. Ale nie bada mnie, tylko po rusku do mnie się zwraca -bruki. To ja i spoźnie zrzuciłem. Zostałem w kąpielówkach. I to zrzucaj. Ja mówię, to mnie wstyd bardzo. Nie, u nas tak jest, musi być całkowicie rozebrany. Zdjąłem i kąpielówki. Zaczęła mnie wygniatać za przyrodzenie, zaglądać do odbytnicy. ~~Byłem~~ Byłem młody człowiek, jak zaczęła mnie gniesć rękami, zaczął mi się prężyć, to ona szmatę mokrą brała i nakładała, żeby mi opadł. Śmieszne to co prawda, ale tak było. I mówi tak, no czto, tak ty symulant. Ja mówię, tak czto chcesz, tak diekaj sa mnoj. Ona mówi, u nas to rozstrzeliwują za to. Jak chcesz to dawaj, niech zastrzelą. Nie, ja ciebie nie oddam, ty będziesz mi drzewo dostarczał do szpitala. Ty choroszij pareń. I zostałem u niej. Tego wieczora przyszła do mnie po cywilnemu, z gitarą, zaśpiewała mi piosenki polskie, pograła jak dziewczyna, zwykła dziewczyna. I powiada, żadnych zastrzyków nie przyjmuj. A oni wtenczas wstrzykiwali Bichinolum i jeszcze coś od tych wenerycznych chorób. Bo mnie zaliczyli, że jestem wenerycznie chory. Nie przyjmuj żadnych zastrzyków, bo bęgie ci szkodziko na zdrowie. Jak tylko będą ci chcieli dać zastrzyk to powiedz, że mnie Marusia leczy. A ty, mówi, zrób mi taki haczyk, bo ja nie mam czym drzwi swoich zamknąć. Może do kowala gdzieś pojedziesz. Bo przydzielila mi dwa samochody ciężarowe studebakery, którymi dowozikiem z lasu drzewo. 10-ciu ludzi wyznaczają

mi do grupy roboczej, do której zgłosili się przeważnie wyżsi oficerowie sowieccy. Byli po prostu lekko ranni a ~~my~~ chcieli podwójny pajok szpitalny i jeszcze terenowy. I mnie obwołali tym komendantem swoim. Ona zaproponowała, że jednego Polaka mamy, dażny... i oni to podchwycili. Znalazłem tam dobrego przyjaciela kazachskiego pochodzenia, pułkownika, który będąc na froncie pod Lublinem sam sobie strzelił do ręki, do palca i na ten palec chorował. Przyznał mi się potem i razem ze mną w lesie pracował. Ja nie uchylałem się od pracy, ładowałem na wozy, pomagałem. Ale oni zarządzili, że będą po dwa wozy szły do Moskwy sprzedawać to drzewo, a po jednym wozie na wieczór będziemy dowozić do szpitala. Drzewa piłować nie trzeba było, bo Niemcy tak mieli wiele przygotowanych w tych lasach, że może było miliony metrów kubicznych. Tylko że las był zaminowany, to oni rozbierali miny, ażeby tylko dojechać do ułożonych wielkich sągów. To jechało do Moskwy, z Moskwy oni kupowali co chcieli, przeważnie wódkę, a reszta to trzeba było kraść. Wieczorami chodziliśmy na kradzież. Na kradzież ziemniaków, marchwi. Do kołchozów okradać ich z kaczek. Nieraz z jedynych kaczek okradali. Tam dużo było kóz. Paśli kozy po lesie, setki kóz było. To myśmy podcinali drzewa i rzucali na te kozy i zawsze pod drzewem dwie, trzy zostały. Później zdzierano się skórę, z kory świerkowej robiono się taką beczkę w ziemi, układało się mięso, zasypywało solą, denko na górę, zasypywało ziemią i to mogło leżeć kilkanaście dni jak w lodówce. Ale powiedziano mi w ten sposób - Polak, jeśli ty komu skażesz, czto nibud' czto my dziełajem, tak my ciebia ubijom i skażem czto ty udrał. To było dla mnie bardzo ważne ostrzeżenie. Przebywałem tam trzy miesiące. Jeszcze powrócę do tego haczyka. Otóż Marusia przyczepiła się do tego haczyka. Zrobiłem u kowala haczyk, przywozłem dwa skobelki i jej w papier zawinięty podaję, a ona mówi - czto ty mnie dajosz, tak pójdziess i ~~my~~ mi to wprawisz w moim pokoju. A więc ona nie mieszkała w tym szpitalu tylko w mieście. Zabrała mnie i poszedłem

z nią do jej mieszkania. Umocowałem ten haczyk. Ona miała jeden pokój. Żywności w nim miała pod dostatkiem i wszystkiego. Jak wiadomo, Żydzi wszyscy byli magazynierami przeważnie, kładowszcziki, a ona ponieważ naczelnik to jej dawali wszystkiego. Cały kąt był założony tuszonką wieprzową amerykańską. I inne rzeczy, wódkę, wszystko miała. Ona podeszła do drzwi zobaczyć czy haczyk dobrze trzyma, zamknęła na ten haczyk, ale już nie otworzyła. I tu stawiła na stół wódkę - alasz, gęsta biała wódka. Wypiliśmy i zaczęło się, wiadomo, dziewczyna była chyba ode mnie ze dwa lata starsza, zaczęła mnie namawiać, że jak ja pojedę, żebym ją ściągnął, że ona przyjeździe, że bogata, ma bardzo wiele pieniędzy, wie gdzie są schowane. Obiecałem dużo, ale niczego nie robiłem. Pokochała się ze mną bardzo serdecznie, jak kobieta z mężczyzną. Spotykaliśmy się później bardzo często, już była moją prawie kochanką. Po trzech miesiącach dłużej już mnie trzymać nie mogła. Powiedziała, jedź do Wilna, do mnie napisz i ja przyjadę. Wtenczas ja stąd ucieknę, przebiorę się, nie będę już oficerem. Ale jej nie ufałem, nie napisałem, bo myślałem, że może blefuje, może pracuje w wywiadzie. Doprowadziła mnie do wojenkomatu i tam pożegnaliśmy się. W wojenkomacie jest wkr tak jak u nas. Wszedłem do tego budynku, w hallu stali w szeregu podoficerowie i szeregowcy razem. Nad nimi jakiś młody oficer młodszy lejtenant z pistoletem gotowym do strzału wszystkimi komenderował, ustawiał. Ponieważ w Związku Radzieckim nie ma, żeby żołnierz otrzymał delegację i pojechał sam, jest zawsze wieszony pod konwojem. Tylko oficer wie jadą sami. Kiedy wszedłem - on - stanowis^o w czered. A ja do niego - idi ty na kuj. Iditie k naczelniku. Zapukałem do naczelnika. Wojdit Tam siedzi pułkownik i inni oficerowie. Trzasnąłem kopytami, zasalutowałem. On, siadajcie, bardzo grzecznie. Gdzie wy chcecie naprawit się. óDo swojej czasti polskiej. Już im nie przyznaję się że jestem partyzantem AK, tylko jakoby z polskiej nacjonalnej czasti. Dlatego że Marusia mi napisała pismo kierujące do wojenkomatu ze szpitala

w ten sposób: naprawiajcie się w polskuju nacjonalnuju czast' czerez wojenkomat. A więc w polskim wojsku jakoby jestem. On na to, proszę powiedzieć, gdzie wasz oddział jest. Ale ja nie wiem jak te jednostki nasze się nazywają nowe. Nie znam terenu rosyjskiego. Zacząłem błądzić trochę z odpowiedzią. - Jak ty odjeżdżałeś to jak ci mówili. Ja mówię, mnie mówili że jak ja wrócę za 10 dni, to żeby wrócić w to miejsce gdzie oni stacjonują. A gdzie oni stacjonowali. A no w lasach, Kakuja była blisko/bo innej nazwy nie znałem/. I tak jego okłamałem. A on zaczął przewracać dużą jakąś księgę i powiada - a w jakiej ty byłeś czastci. Nie wiedziałem, co znaczy czast' po rusku. A w baonie? - Sanitarnym, powiedzieli mi się. I tak zostałem w sanitarnym baonie. Przewrócił wiele kartek i powiada, ja nie mogę znaleźć tego waszego batalionu, więc może ja ciebie skieruję do Żytomierza i tam w komendanturze waszej będą wiedzieć i ciebie skierują. tam gdzie trzeba. W porządku. Wydaje mi przepustkę - naprawiajcie się w polskuju nacjonalnuju czast' do Żytomira. Pieczęć wojenkomatu wielka I na dole, że w razie... trzeba to zjeść. Wyдали mi żywność według oficerskiego pajka. Diesiątej grupy, jak oni nazywali. Przynieśli kiełbasy amerykańskiej, amerykańskiej słoniny kawałek i ruskiego śledzia dostałem, bochenek chleba białego i dwa czarnego. Nadto papirosy Zefir i karaszki - korzenie pocięte tytoniowe. Ale ja trochę zarobiłem tam pieniędzy, bo drzewo sprzedawaliśmy, więc postanowiłem zostawić im jedną puszkę kiełbasek - to chyba będzie na zakuskę, a chyba po kieliszku zrobimy. Rzuciliśmy po parę czerwonońców, najjaśniejszy z nich stopniem poleciał, przyniósł wódkę. Wódkę zaczęliśmy pić, kiełbaskę zagryzać, mój bochenek chleba już poszedł. On mi wydaje wtenczas talony na 10 takich dziesiątek, czyli w każdym miejscu gdzie będę w Związku R. dzieckim mam zajść do magazynu i za 10 dni pajek pobrać, a takich miałem 10 sztuk. A więc bardzo mnie zaopatrzył w żywność dobrze. I pyta, czy mam w pistolecie naboje. Miałem tylko 3. Nie mój to był pistolet, ale z tym pułkownikiem dobrze żyłem

. Pułkownik mówi tak - jak ty chodzisz bez broni. My imiejem pistolety, a czto wam nie wolno chodzić? Wolno, ale ja swój zgubiłem. Pewnie przepiłeś, cholera. Ale ty wiesz, ja mam dwa. Dam ci jeden - ruskuju zwiezdu. I daż mi w kaburze niemieckiej. Ale ja uprawnienia nie mam. Dobrze, mój kolega w tym wojenkomacie ci wyda. Daż mi jeszcze dwa magazynki nabei, szynel, bo przecież swoje posprzedawałem, a więc byłem w samym mundurku, a to już był październik, zimno. A to Unra płaszcze wojskowe dla oficerów szare i zielone, uszyte już były nie w Rosji. Pożegnali się ślicznie i mówią - o trzeciej masz rano pociąg w kierunku Żytkwiarza Kijowa na Żytomierz. Tu zaraz dyżurny przyjdzie, młody student moskiewski, on był oficerem i ranny jest. On tu dyżur trzyma w tej chwili, bo i ranni u nich trzymali dyżury. Będziesz miał z kim rozmawiać, będzie ci weszło. Zaraz za chwilę ten przychodzi, jeszcze było tej wódki nie wypitej, jeszcze kielich dostał wódki i został. Oni już wszyscy poszli, a on powiada ty durak, ty nie jedź, ty masz rodziców, ty młody człowiek. Ja wróciłem spod Lublina, nasz żołnierz jest offerowany przed Niemcami na mięso. Zabijają bezpardonowo, wódkę dają przed natarciem i ten żołnierz ginie i ty zginiesz. Ja na twoim miejscu pojechałbym do Różyny. Ale jak pojedę, jak tu mam. Masz prawo do koła Rosji jechać do Kijowa, każdą drogą. U nas nie ma wyznaczonych dróg. I tu nie ma w dokumencie zaznaczone że musisz przez Kijów jechać, możesz przez Wilno jechać. Pouczył mnie. Do mapy mnie doprowadził, zorientował mnie na mapie. Powiedział, że patrole rosyjskie nie mają prawa polskiego żołnierza zaczepiać, tylko patrol polski. Pouczył mnie jak mam się zachowywać. Bardzo to mi się przydało do ucieczki. Postanowiłem powrócić do Wilna i powróciłem. Po powrocie do Wilna nie bardzo długo cieszyłem się wolnością. Za ledwie kilka dni będąc na ul. Zawalnej w Wilnie spotkałem idący patrol komendancki. Zatrzymał mnie i -dokumenty pokażcie. Ja już dokumenty miałem co prawda na inne nazwisko, na Kotwiczewskiego. On na moich oczach porwał dokume

rzucił do kałuży i powiada- stanowią w oczereń. Dowiedziałem się, że kogoś musiał za pieniądze oddać, a brakowało mu jednego. Przypro- wadził mnie do komisariatu 4-go na ulicy Zawalnej - towarzysza majo- wca człowieka bez żadnych dokumentów. A ja czto ty wrosz, ty sabaka ty oficer i ty wrosz tak. Jakiś sierżant chciał mnie uderzyć pisto- letem w drewnianej kaburze. Ale byłem jeszcze wówczas zręczniejszy, oskoczyłem w bok i nie dostałem. Zostawili mnie na tym komisariacie 4-tych. Stamtąd odprowadzono mnie do miejskiej policji na Mindaugo. Tam pobytłem chyba ze 3 dni, badania, badania, bicie, kopanie. Wna- wiali mi, że jestem właśnie akowcem, a ja broniłem się, bo już byłem po cywilnemu, że w ogóle AK nie znam, co to jest za organizacja, nigdy nie służyłem w wojsku. Nauki - powiedziałem że w ogóle do szko- ły nie chodziłem, jestem analfabeta i to mi pomagało. Trzeba było tylko cierpliwie to samo mówić. I w nocy sam do siebie mówiłem po cichu, żeby nauczyć się mówić, żeby to samo im wmawieć. Po kilku dniach odprowadzony zostałem na Łukiszki, do tego więzienia ciężkie- go, gdzie wsadzony zostałem do takiego małego pokoju, w którym już było z 15 osób, a powinno być 2-3 najwyżej. Bo tylko były i dwa łóżka tam. A to wszystko stało jeden przy drugim. Było bardzo cięż- ko przeżyć. Byli tam ludzie, którzy dzielili taki sam los jak ja, ale było też dużo napchanych szpiclów, którzy pytali bez przerwy. Jak to było, a w jakim byłś oddziale. Trzeba było bardzo być spryt- nym i nikomu nie wierzyć. Przebyłem na Łukiszkach może 2 może 4 tygodnie, bo w tamtym okresie, kiedy trafiłem do więzienia, nie zna- łem ani daty, ani jak dzień się nazywa, nie wiedziałem która godzina. Najgorsze było dochożenie. Przędę wszystkim bicie. Przychodzą do badania, za jedną noc trzeba było przejść 10-15 pokoi. W każdym po- koju siedzi oficer. Do niego się przychodziło, od razu sadis', grzeć nie na razie się zachowywał. Skazitie swoju biografiu. Życiorys trzeba było mówić ogólnie, krótki, żeby wiele nie mówić. Wteno- zas on na pewno skontaktował się z kimś i natychmiast kazał iść do poko-

ju następnego. Tam tak samo biografie, a już z powrotem po tych 10 czy 15 pokojach przychodziło się do tego pierwszego. I ten pierwszy ^{mówił} zawsze ~~pytał~~ tak: a wy tam tak i tak powiedzieli, a wyście tutaj nie tak powiedzieli, drobne rzeczy, to samo znaczyły, tylko tr ochę przesławione. I wtenczas bicie. Sam nie bił, naciskał guzik, otwierały się drzwi, wchodziło dwóch przeważnie facetów. Nieraz szczęki mieli pokaratane, w szramach, silni mężczyźni. Przy nich już pytał się: skąd, ty byłeś w partizantach? Nie. On wtedy wołał, Alosza, czyto wam sędziełali partizanty na tym terenie. Tego ubili, temu głaza wydrali, tamtemu język odcięli. A ty jego znajesz? No znaju, że byłeś w partizantach polskich. I wtenczas bicie. Lanie tak długie, że człowiek przychodzi po prostu do siebie przez kilkanaście godzin. Stale co drugi dzień byłem torturowany. Już nie raz zastanawiałem się czy nie popełnić samobójstwa, bo lękałem się następnych dni. Chcę tu zaznaczyć, że będąc w niemieckich obozach czy w niemieckim dochodzeniu w Gestapo, bo także tam byłem, taka sama metoda, rosyjska nie była inna, a raczej cięższa, bo do Niemców jeszcze można było uśmiechem, łagodnie, umiejętnie coś powiedzieć i czasami nie znęcali się mocno. A ci bez przerwy, wmawiali różne niedorzeczne sprawy, ażeby tylko bić i znęcać się nad człowiekiem. Tak sobie myślę, że po kilku miesiącach dopiero, to trudno powiedzieć, bo dat człowiek nie znał absolutnie, zostałem przewieziony do Orszy na Białorusi do tzw. więzienia przejściowego. Ale dalej jako w śledztwie. Tam były badania ale i przerwy nieraz na całe tygodnie. Tylko do pracy pędzano. Do różnej pracy, jaka im była potrzebna, cięcie drzewa, pilowanie, bo drzewem opalali, oczyszczanie ze śniegu. W końcu stamtąd wyszedłem, pamiętam jak dzisiaj na odrzucanie śniegu i postanowieniem stamtąd wziąć uciecz. Udało mi się dzięki tylko ludności białoruskiej, która mnie przyszła z pomocą. Otóż za mną patrol przyszedł mnie szukać, już oddalony byłem od Orszy o jakieś 3 km i. sch walcem się u jednego Białorusa, pracując się pod kółko. Wtedy przyszło trzech sowieckich z k-

nierzy „Zdies” nie na tego zbiega? A ten, nie, jak by był, to my byśmy powiedzieli. I tak uchronili mnie. Dali mi później inne ubranie, porwane co prawda poszargane, ale dla mnie grunt że było ciepłe. I poszedłem do następnej miejscowości. I tak od miejscowości do miejscowości pchałem się do Wilna. W Wilnie znalazłem się na początku, może w połowie raczej 1945 roku. I w tym okresie znów długo się nie zabawiłem. Tylko umieściłem się u jednych znajomych w Wilnie, ale nie mogłem miejsca stałego sobie znaleźć, dlatego że wszędzie były te patrole nocne, zachodzili do domu, kontrolowali, tak jak i Niemcy, niczym się nie różnili, trzeba było się ukrywać. Nie miałem meldunku, a więc nigdzie nie mogłem zatrzymać się. Bo gdybym poszedł się zameldować, to znów by mnie aresztowali. Uktywałem się różnie, na różnych ulicach, nawet w jednym dniu nie raz trzy miejsca zmieniałem. I w końcu także zrobili mi dokumentik dobry, na nazwisko Bielousow, że ja bardzo dawno już mieszkam na tej ulicy, która rozbita. Znów szedłem ulicą i znów napotkał mnie patrol komanđancki, zatrzymał mnie i przyprowadził, ale tu już nie porwano mi dokumentów. Przyprowadził mnie na posterunek, krótko byłem, tam nie nie pytali, zabrali mnie stamtąd, przyprowadzili znowu do Łukiszek. Na Łukiszkach byłem już zaledwie kilka dni i stamtąd mnie wysłali bezpośrednio do

4B

Z Łukiszek zebrali większą liczbę więźniów i wysłali w okłast archangielską. Nie mogę powiedzieć dokładnie jaki obóz, gdyż bardzo często zmieniali. To nie były duże obozy. W jednym byłem może kilka tygodni, w następnym, ale cały czas w kompanii śledczej. , to znaczy nie byłem jako zasądzony więzień a tylko zawsze byłem pod ręką śledowateli, oni mnie często trzymali, wypytywali. Byłem u nich prawie codziennie, co kilka dni, tygodni badany. Stamtąd, nie wiem dokładnie za jaki czas, bo jak już mi poprzednio zaznaczałem, ożkowiek tam nie zna daty, nie wie czy to marzec, czy luty, nawet

częst kroć byłem tak mocno bity, że nie wiedziałem jak się nazywam. Myślałem, że już będę kaleką na zawsze, ale później jakoś odzyskałem tę równowagę psychiczną. I zostałem wywieziony wreszcie do Workuty. Wieziono mnie przez Uchtę i inne miejscowości, których nie dało mi się tak dobrze zapamiętać. W Workucie zostałem osadzony w tzw. jedynce. Jedynka była w samej miejscowości Workuta. Też tylko siedzieli tam ludzie, którzy nie byli sądzeni. Siedziałem tam dosy długo. Pracowałem przy torach kolejowych prowadzących do kopalni. Tam była masa kopalni dookoła, nigdy w nich nie byłem i dlatego nie mogę ich nazwać. Ucieczki już nie organizowałem stamtąd, gdyż nie było możliwości. Wiedziałem, jak to ruskie mówili, tu budiesz żit', rabotat' i zdiess' padockniessz. Takie słowa na co dzień mi mówiono i do nich się przyzwyczailem i myślałem, że nawet mój ptaszek nigdy nie przyleci z Europy, ażeby chociaż mi cośkolwiek powiedział o mojej rodzinie. Już byłem zrezygnowany, wiedziałem, że chyba tam skończę na zawsze. Minęło chyba półtora roku i wtenczas wybrano kilku z całego obozu, po prostu wybrano, wywołano do naczelnika i ten do mnie zwrócił się w ten sposób: skazitie, zdiess' z wami choroszo obracali się sledowatielei? Ja mówię, wsieгда mnie bili, no kakże choroszo. Wot ty durak, imiejesz ty swoju rođinu kakuju nibud'? Imieju. Pojediesz k nim, tolko dożžno podpisat', czto s tobój choroszo obraszczalis'. No to podpisałem, co miałem zrobić. Taki druk gotowy był. Kak wam s pitanijem było zdiess'? Wsieгда był goł dien. Durak, ja tiebie skazał, kak dożžno. Podpiszi, że zdiess' było choroszo, pojediesz domoj. Podpisałem, że było mi bardzo dobrze i dlatego pojedzałem. Zwolnili, kilku ze mną też. Gutowicz por nik ze mną też jechał. Podobnie w tamtym okresie zwolniona została pani Król. Stamtąd wyjechałem gdzieś w pierwszej połowie lutego 1946. Do Moskwy przybyłem gdzieś na początku marca. /Jak pan tłumaczy swoje zwolnienie?/. Tłumaczę w ten sposób, że ja mając nazwisko Biekousow, uważali że ja jednak jestem trochę krwi rosyjskiej. Ja

i to mówię. Czo to ty, tak ty nasz czełowiek. J, tak dunaju, czo to ja
wasz czełowiek. Ty żaden Polak. Tak, rodzikiem się w Polsce i czuje
się trochę i Polakiem. A jak w domu? W domu rozmawiają po rusku.
Kłamałem rzeczywiście, bo w domu po rusku nikt nie rozmawiał. Bro-
niłem się w miarę mojej możliwości. Widocznie mi uwierzono. Albo
druga przyczyna, że nie przyznałem się mimo, że miałem tortury.
Jedno przy tym zaznaczę. Pracowałem w dzień, nie dostawałem wracając
już wieczorem kolacji. Stawałem pod ścianą i musiałem pod ścianą
stać, na bezsenność stosowane, trzeba było pół metra od ściany stać,
ale chodził bojąc z bagnietem i kłuz jak człowiek zasypiał. Na rano
wyprowadzają bez herbaty, bez niczego, bez wody, nawet umyć się nie
dają, ażeby się nie napił tej wody i wyprowadzają do pracy. Z pracy
przyprowadzają ponownie i teraz jesteś głodny bardzo już. I wtenczas
przynoszą soloną rybę, prawie oblepioną solą i tę rybę każą zjeść.
Ale nie tylko że kazali. Każdy chętnie ją jadł bo był głodny. Wtedy
ogromnie zaschły usta, język był prawie skołowaciały, biały od tej
soli. Wprowadzano wtenczas na badanie, karafka z wodą stała i powia-
da - wot, skazi, skolko ty ruskich ubik? , tak popijesz wody.
Ja stale broniełem się, że nic nie wiem co to za organizacja, ja
nigdzie nie byłem, jestem analfabeta, nie służyłem w wojsku, ojcu
pomagałem w gospodarstwie. A gdzie ojciec mieszka. Kręciłem, nie
podałem. Podałem, że ostatnio byłem w Wilnie. A te ulice zawsze
mówię, które były zbombardowane, nie było mieszkań, tak że trudno
było dowieść mnie, żeby z rodzicami porozmawiali i udowodnili, że
tak i tak jest. Podpisywałem się krzyżykami i te krzywe jeszcze sta-
wiałem. Ale oni zabraniali krzyżykami, musiał ktoś na mnie się
podpisać. A jeżeli trzeba było to zygzak jakiś. Było to trudno, bo
musiałem udawać, że nie umiem pisać. I dlatego być może, że ja się
nie przyznałem, nie mogli mnie postawić pod sąd, bo nie było za co
wła^{ściwie} ciwie. Jestem cywil, nigdzie nie byłem, to jak mnie osądzić.
Chociaż jak dowiaduję się od innych, że w tym okresie oni tr szeczke

w tym 46 roku z niektórych więzień pozwalniali Polaków. Na początku marca przywieziono mnie wtenczas do Moskwy pod konwojem cały czas. Miałem taką wielką brodę zackowaną, miałem długie włosy, byłem obdarty strasznie. Spodnie mogły mieć ze 200 złt naszytych na sobie różnego rodzaju i różnej barwy. A przyszywane przeważnie drutem cienkim. Nie było nici, igieł. Zamiast butów były tylko chłblewy stare od butów, a nogi były zawinięte gumą od opony, okręcone drutem i to wszystko w szmaty. Wstydzili się takiego przeprowadzić przez Moskwę na pieszo. do Związku Patriotów Polskich w Moskwie. A przewieźli mnie samochodem krytym. Z stawili mnie i poszli. Za mnie przyjemnie wzięli się. Przeważnie to byli Żydki, ogolili mnie, ubrali, włosy ze mnie zdjęli prawie wszędzie za wyjątkiem na głowie, ponieważ masę miałem wszy. I tam powiedzieli, że będzie pan u nas o 2 tygodni, aż pan odzyska ten wygląd ludzki i wtenczas dopiero pan pojedzie do Wilna tranzytem. Mnie wydali wtenczas unundurowanie czyste angielskie, wszystko od A do Z, nawet szczoteczka do zębów, 2 chusteczki do nosa, 2 pary skarpetek, buty angielskie, bluzkę, płaszcz, wszystko i furaczerka na 2 guziczki. I tak sobie chodziłem po Moskwie, jako wolny. Do kina, do teatru, z kimś chodziłem, nikt mnie tam nie pinował. Ze Związku Patriotów Polskich otrzymałem paczkę 24kilogramową Unrowską. W tej paczce było także dużo i kakao, czekolada. Nie potrzebowałem tego zjadać od razu, bo tam dobre było życie. Niezależnie od tego dali mi 300 rubli raz, drugi raz przed odjazdem też 300 rubli. Przyjechałem potem tranzytem do Wilna i już byłem wolny. Ale cóż, nie mogłem w Wilnie dostać pracy, bo trzeba było dowód osobisty mieć i być ich obywatelem, żeby dostać pracę. Ja natomiast powróciłem jako więzień, nie mogłem otrzymać dowodu, bo nie chcę podpisać dla nich obywatelstwa. Chcę przyjechać do swojej Ojczyzny, do kraju. Tam już mojej Ojczyzny nie było prawie, bo wiadomo rządy były rosyjskie. A nie można było się zapisać, bo chociaż jeszcze istniał ten Komitet Wyzwolenia Narodowego w Wilnie, ale on

już nie rejestrował. Chodziken po prostu bezradnie, nie wiedziałem co mam zrobić. Nie było gdzie zarobić, nie miałem co jeść. U jedne go znajomego trochę, ktoś mnie tam pokrzywił, herbata poczęstował i tak się włóczyłem od domu do domu. Rodzice już moi przyjechali do Trowborka, mieli gospodarstwo. Nie wiedziałem, gdzie oni są, ale wiedziałem że do Polski wyjechali. I otóż jednego razu przechoźnikiem i taka Halinka, znajoma z AK, oj, Wiktor, przywitała się bardzo serdecznie, jak najbliższa osoba, jakby siostra. Dobrze, że siebie znalazłam, ty jesteś zapisany do Polski. A gdzie ta karta ewakuacyjna? - ja mówię. Zapisali tam znajomi, ale nie wiedzieli dobrze twoje daty urodzenia. Jutro przyjdź tu i tu na spotkanie na Zawalnej koło Rynku, bo tam koło Rynku można było się lepiej spotkać z każdym, Przyszędkiem na ten Rynek i ona mnie przyniosła tę kartę. Niestety, ten numer karty już miał odejść półtora roku temu. A teraz 125-ty transport miał być i na ten transport nie chcą mnie przyjąć. Całą noc jedną, drugą i całą dzień stałem do konsulatu litewskiego z prośbą, żeby mnie wypuszczono do kraju. Już ten angielski mundur przechadlowałem na polski, a więc już byłem po polsku ubrany. Mnie nawet jedzenie przynoszono do tego szeregu, a ja stałem dzień i noc bo taka była kolejka, żeby jechać do Polski wyjechać. Ale jak ja przyszędkiem w wojskowym mundurze, to on powiada, no cóż, pan jest wojskowym, ten rodzina już jest, to pan musi wyjechać do Polski. Napisał mi, zgadza się wyjechać 125 transportem urzędniczym. Bo już odjeżdżał i PUR i ten Komitet Wyzwolenia Narodowego, nawet wtenczas biskup odjeżdżał do Olsztyna. I ja tym transportem wyjechałem, przyjechałem do Polski. Było to 3 listopada 1946. Po odnalezieniu rodziców, ale szukając ich, miałem wiele perypetii. Bo myślałem tak, Mnie do Polski jak przyjadę, przywitają przyjazniej z kwiatkami. Służyłem dla tej Ojczyzny, biken się na Westerplatte, później w Armii Krajowej. Myślałem, że tu inna atmosfera w naszym kraju i mnie się zaopiekują. Jednak niestety, po przyjeździe pojechałem szukać

rodziny na razie w poznańskie, bo tak dowiedziałem się od znajomych, że ojciec chciał w poznaⁿskie. Tam już w Zielonej Górze mnie zaatakowano przez milicję naszą i już tam pobikem się z nimi. Już tam mnie osadzono w wi^zzieniu, na krótko co prawda. Wypuszczono mnie znowuż, nawet pozwolono mi się umyć, bo bardzo się wybrudziłem. Przyjechałem do Olsztyna. Tam idę przez bazar, podchodzi do mnie czterech milicjantów i jeden mówi - co, wam się jeszcze chce sanacji. I mnie z płaszczu mojego przedwojennego wojskowego guzik wyrwał z materiałem i rzucił na chodnik. A ja nie wytrzymałem nerwowo, uderzyłem go w głowę. - Za ten guzik nasz naród przelewał krew, ja również lałem krew za ten sam guzik, jak ty śmiesz bandyto jeden, wrywać mi guzik. I znów walka. Oni na mnie napadali. Ja byłem wtenczas silny, jeden z drugim uderzyłem tak, że nabiegło dużo wojskowych, którzy po mojej stronie stanęli, a nawet patrol wojskowy dołączył i zaaresztował ich, kazał podnieść guzik i ucałować, ale to jeszcze był rok 46. Inne było to nasze wojsko. Nie było tak naszpikowane mocno tą polityką straszną. I rzeczywiście zaprowadzono mnie do komendantury, tam kazano mi przyszyć guzik przez tych samych pobitych i im głowy nabili, tym milicjantom. No, oni na mnie krzywo rzeczywiście patrzyli. I dalej wojsko udzieliło mi zapomogi 300 zł. Pojechałem dalej szukać. I tak znalazłem, aż do Łodzi musiałem jechać, ponieważ w Łodzi była centrala wszystkich repatriacji i tam właśnie dowiedziałem się, że transport, którym ojciec jechał nazywał się dwudziesty oszmiański. Pociąg dojechał do Poznania, a pociąg rozładował się w Olsztynie, raczej do Braniewa przyjechał z Olsztyna. Pojechałem do Braniewa, do PURu zaszedłem, tam urzędnik znał mojego ojca osobiście, a więc mi powiedział, że mieszka koło Fromborka i tak odnalazłem rodziców. Jeszcze pamiętam jak dziś, szedłem pieszo, bo nie było kolei, szła wszędzie po drodze i pomyliłem się, minąłem Fromborka i szedłem dalej w kierunku Elbląga. Żle poinformowany byłem, gdzie znajduje się Kilinhof, gdzie mój ojciec zamieszkał. Tam patrzę,

takie ^światełko małe, zacząłem pukać, nikt nie otwiera. Później zgasili to światło, ja pukam i pukam uporczywie, to noc była. I wreszcie Nienka otwiera drzwi, bo to Niemcy byli jeszcze nie wywiezieni stąd. Pytam się u nich o Kilinhof. po niemiecku. Pokazała mi drogę prościutko na ten dom po Waserzierze, ~~niemieckiego~~ po którym ojciec przejął gospodarstwo. A Dom z zielonym ganeczkiem. W nocy przyszedłem. Ale ten pies, który kiedyś mnie poznał, ten sam był przywieziony tutaj, już był stary, też zaczął się łasić, nie szczekał na mnie, a matka biedna wyleciała w samej koszuli ~~jak~~ ^{mojego} spała, tak ojciec na podwórko ze mną się witać. Nie było ~~takiego~~ szczęścia też tutaj takiego dobrego. Rodzicom zacząłem pomagać, remontować budynki. Ale niestety każdego dnia prawie przychodziła milicja do mnie, miejscowa z Fromborka. Patrol WOPu przychodził, ale patrol mnie nie zaczepiał, tylko milicja. Pytała się u mnie, czy ja słyszałem że tam gdzieś strzał był, rewizję u mnie robiono, zabierano mnie co wieczór do aresztu, a na rano wypuszczano tak, że ja musiałem w dzień odsypiać te noce, bo nie miałem gdzie zasnąć, nie było łóżka, światła nie gasili celowo. Zawsze mi grożono, że bandytą i hitlerowcem mnie nazywano. To mnie bardzo bolało. Ale dawałem sobie jakoś radę pod tym względem, że jeszcze bojowo przechodziłem. Były wypadki, że przyszło dwóch milicjantów i jeden -dokumenty, a ja na podwórku obrzynam drzewka. Dokumenty mam w domu, przecież nie noszę ze sobą. -Milez, bandyto, hitlerowcu, chodź pokaż dokumenty i do domu do mnie wchodzi. Otwieram grzecznie drzwi, wpuszczam, przecież nie jestem aresztowany, nie, mnie naprzód wypychają do domu. W domu on otwiera szafę i powiada, a granatów tu nie ma? A ja go od razu w gębę, proszę pokazać mi tu pozwolenie od prokuratora przeprowadzenia rewizji. Rozbroiłem tych dwóch, zaprowadziłem ich na posterunek, wróciłem i wtenczas po mnie już przyjechało pięciu aresztować mnie. Że ja jakoby rozbroiłem milicjantów po to, żeby mógł ktoś milicjantów w drodze zabić. Potrzymano mnie wtenczas

chyba 2 3 dni w areszcie i znowuż mnie zwolniono, bo przyjechało nasze UB czyli nasze takie Gestapo, ono gorzej się obchodziło jak Gestapo. Zaczęli mnie badać, pytać. Powiedziałem, że jestem przewrażliwiony tym wszystkim, a ponieważ szturchnęli mnie karabinem tak, że nie wytrzymałem nerwowo i rzeczywiście rozbroiłem ich, bo nie byłem pewny czy to jest milicja czy jakaś banda, może nawet nieniecka jakaś cholera przebrała się w mundury i ja dlatego to zrobiłem. Być może błąd popełniłem, ale niestety tak musiałem to zrobić. I w ten sposób jakoś mi się udało wtenczas wykręcić. Ale niestety w roku 1950 pojechałem na odprawę produkcyjną do Liazbarka "armijskiego" i tam zostałem aresztowany. Aresztowało mnie Bezpieczeństwo Publiczne, osadziło w swoim więzieniu. Siedziałem chyba ze dwa tygodnie. Tam prowadzono znowuż mnie dochodzenie. Pytano mnie jedynie, ile ja ruskich zabiłem. I bito, a przede wszystkim najwięcej torturowano różnymi sposobami. Nawet dowiedzieli się, że ja bardzo się bałem sondowania żołądka, to przywiązywali mnie za nogi, za ręce do tankietki retu przysrubowanego do podłogi, jakiś patyk, prosto szczotkę wsadzali w zęby i rozchylali mi szczęki i wsuwali węże, którym rzygałem. Tak długo rzygałem, leciało to wszystko co było w żołądku, a później krew szła. Bicie było najczęstszym sposobem. Przy odprowadzaniu do celi mocno uderzyli w kark, że człowiek upadł i leżał przez kilkanaście minut, nie mógł się podnieść. Umożliwiano mi, żebym się powiesił. -Będzie lepiej jak się powieszicie, bo was i tak czeka kara śmierci i tak. Nie wiedziałem za co. Wreszcie na ostatni raz, kiedy już postanowili powieścić całkiem tak jak oni chcą, bo po co mi mają tak zdrowie odbierać. Pytają się, ile ja ruskich zabiłem. Powiedziałem, a ja ich liczyłem ile. Jeden taki podskoczył taki kapralina - a 100 zabijeś? Może i więcej jak sto. To ile? Może 110, 115, nie pamiętam ile mi naliczyli. Zgoda, zabiłem. Spisali protokół i w końcu zapytali o okoliczności. Ja mówię, przecież wy doskonale wiecie, że Własow przeszedł na stronę niemiecką. To byli Rosjanie, którzy

z nami podejmowali walkę, z partyzantami i ja rzeczywiście strze-
leżem do nich jak do kaczek, niestety, oni szli przeciw aliantom.
A toś ty taki cwaniak. I wtenczas może takie dla mnie łanie, ale
w końcu jeszcze większe zrobili łanie chyba na drugi dzień i znowuż
protokół trochę zmienili, ale już ja ten pospisakem, co oni chcieli,
bez różnicy, co chcą. I pod konwojem dwóch mnie wzięło nie skutego.
Przyprowadzili mnie do sądu i w sądzie akurat trafiło się na szczęś-
cie. W Lidzbarku Warmińskim był sędzia Żużak, Wilnianin, kapitan
wojska polskiego bęący u nas w partyzantce jako sędzia, który wyro-
kował kogo stracić jeżeli zachodziła potrzeba, powiedział, że mnie
nawet przypomina i zna mnie osobiście. Powiedział w ten sposób-
konwojenci, proszę wyjść. Zostanę z nim w pokoju sam. On bez czapki
tylko w tożze był i powiada - szkoda mi pana zamknąć, ale proszę,
pokazał mi pisma z Bezpieczeństwa, nakazy, że mnie musi zamknąć.
Muszę to zrobić, bo inaczej to mnie grozi. Bo gdybym wiedział, że
pan nie ucieknie, to bym pana zwolnił, ale boję się, że pan ucieknie.
Ale ja nie miałem zamiaru uciekać. Proszę pana sędzię, ja naprawdę
nie będę uciekał, nie zrobię panu tej przykrości. Ale w końcu jednak
czapkę nałożył sobie tą sędziowską i powiada tek, do Orza się zwró-
cił - w imieniu Rzeczypospolitej ^Polski sąd postanawia obywatela
zatrzymać na okres 3 miesięcy z powodu obawy popełnienia ucieczki
lub matactwa. Wydano mi ten papierek i z tym papierkiem odprowadzo-
no mnie do Bartoszyca. Tam osadzono mnie w pojedynce. Było to bardzo
trudne i ciężkie do przebycia. Miałem do chodzenia 0,7 m². Pokoik
był bardzo mały, w tym stały dwa łóżka piętrowe. Na łóżkach sia-
dać zabroniono. Okno było zabite blachami i tylko niebo widziałem.
^Trudniłem się przez sześć i pół miesiąca w tym więzieniu siedząc
licząc ptaki które przelecają, jakie ptaki i to było moją jedyną rozry-
wką. Nie dawano mi żadnej gazety ani książki. Co chwila nie dawano
mi spokoju, otwierano drzwi i pytano - co wyście chcieli mnie w oko
uderzyć. Chodźcie na korytarz. ^Z chwilę - do karcu zimowego.

Karc był w piwnicy, 1,60 miał wysokości, ale wszystko kaflami obudo-
wane. Był tam mury leżak, szerokości chyba dwóch kafli i obok tabo-
recik też czworokątny też obłożony kaflami białymi. To wszystko
polane jest wodą, a pod samym sufitem jest otwór i jeszcze jakby
komin, przez który się nie wyjdzie i tam dopiero otwór, żeby zimno
przychodziło. Rozbierali do naga i trzeba było w kąpielówkach zos-
tać i ja tak siedziałem tam, bardzo zmarzłem. Pierwszy raz siedzia-
łem 48 godzin, to jest dosyć długo, bez jedzenia, bez wody. Później
zacząłem się kamać jednak, myślałem czy porwać koszulę na sznaki
i powiesić się czy jak. Po prostu myślałem już o samobójstwie.
Ale wreszcie postanowiłem inaczej zareagować. Wszystko to z pomocą
Boga, bo do niego się modliłem jak przychodziła na mnie myśl taka.
Postanowiłem wtenczas bić w te drzwi, bez przerwy, to żelazne drzwi.
Biłem stopami, pięściami, może ze dwie godziny, wreszcie przyszedł
ktoś po drzwi i pyta się, co ja chcę. Powiedziałem, że źle się
czuję, zachorowałem, bo rzeczywiście niedobrze się czułem, proszę
mnie zaprowadzić do lekarza. Otworzono, po godzinie przynieśli mi
ubranie i kazali wychodzić. Przeprowadzono mnie do lekarza. Była
to pani, wilnianka, nazywała się Brzozowska. Powiedziała, proszę,
konwojenci niech wyjdą. Zapytała mnie wtedy, za co siedzę. Zarzucają
mi przeważnie strzelanie do rękic, zarzucają że byłem w Armii Kra-
jowej. Nawet nie pomaga, że byłem na Westerplatte, bo mówili, strze-
lałeś ty skurwysynu, do sowieckich sojuszników, bo wtenczas na Weste-
platte, jeżeli było się przeciwko Niemcom, to robiłeś źle i przeciw
ruskim, bo to była jedna ręka. Taki zarzut był mi stawiany w UB
u nas w kraju. Tu muszę jeszcze wrócić. Przy aresztowaniu, kiedy
mnie już aresztowano w Liszbarku, pierwszy ten dzień, jak byłem
na odprawie, popchnięto mnie mocno i powiedziałem - proszę się li-
czyć, jestem oficerem wojska polskiego.-Będziesz gówniarzu szeregow-
cem jeszcze u nas. Liczcie się ze słowa, jestem honorowany krzyżem
Virtuti Militari.- Ten krzyż będziesz tak widział jak swój nos

wiadzisz. I rzeczywiście tak stało się. Zabrano to mi przy rewizji, legitymację, bo ja przy sobie nie miałem krzyży. I rzeczywiście, kiedy już później po rozprawie sądowej, ale może tu wrócić do rozprawy sądowej. Po tych sześć i pół miesiącach nie dopuszczono do mnie adwokata, nie miałem prawa podpisać dla niego upoważnienia, ojciec tam wynajął, adwokat kilkakrotnie przyjeżdżał, ale nie wolno mi było z adwokatem się spotkać. Siedziałem i stale mi tylko przypominano - no, będziecie rozstrzelani, będziecie na pewno zabici. Nawet w dobrej wierze, nie groźbą, przychodził ten, co w celi był nawet lepszy, Złoty Ząbek go nazywali, mówił - trudna pana sprawa, na pewno będzie pan wyrok śmierci miał. Za przynależność do Armii Krajowej, za to, za inne sprawy, pobieżnie się z UB, nie dawałeś się aresztować, broń wyrwałem od nich. To prawda i strzelałem do góry, oni uciekali wtenczas, bo i bronikiem razem i swojego kolegi, swojego przełożonego, którego także aresztowali wtenczas, bo on wstawił się za mną - co wy chcecie, to jest człowiek dobry, to jest mój podwładny I jego aresztowali, siedział tyle samo co i ja. Kapitanem był wojsk ludowego. Od Lenino szedł do Berlina, miał 17 odznaczeń bojowych i też powiedzieli - w dupie mamy wasze odznaczenia, do tego kapitana Muszyńskiego. Tak że on siedział ze mną razem, tylko że nie w jednej celi. Później doprowadzono mnie na tę rozprawę. Zostałem aresztowany w styczniu, a rozprawa odbywała się w lipcu. Prowadziko nas 4 milicjantów, tego mojego przełożonego i mnie. Przyprowadzono do sądu, ten sam Żużak miał rozprawę. On sądził, nie chcąc może ani przykrości im zrobić ani mnie. Ale oni. pozajmowali wszystkie pierwsze ławki - sama milicja i UB. Wychodzili bez przerwy na korytarz, informowali swoich świadków i z powrotem wracali. Rozprawa trwała cały dzień, pokazowa. Z każdego przedsiębiorstwa byli wydelegowani ludzie za przepustką. Przyglądali się, jak nas będą na karę śmierci sądzić. obydwu. Była to ciężka sprawa. Adwokat przyszedł w pierwszym momencie, powiedział, proszę pana, jeżeli ja pana/ja podpisałem mu

wtenczas kiedy mnie prowadzono. On podsunął mi podpisać, pchano mnie nie dano mi z ojcem się przywitać, popychano mnie do takiej małej seki, gdzie miałem siedzieć pod konwojem. I zaraz adwokat poszedł do sądu i zaraz sąd pozwolił mi na widzenie z ojcem i pozwolił mi z mecenasem omówić sprawy wstępne/czasu było mało bo zaraz rozprawa. Omówiłem z nim sprawy. On poszedł do akt, zajrzał, powrócił do mnie i powiedział tak: mój drogi, powiada, nazywał się Nitka ten adwokat, był kiedyś prokuratrem wjskowym w. Chciałbym, żeby jak najlepiej poszło, ale jeżeli ciebie obronię na 25 lat to będzie bardzo szczęśliwe i dobre. Podobno 7 miałem artykułów, podobno do Związku Rodzicielskiego zwracali się, dlatego tak długo mnie trzymali. Nie wiem jakie tam sprawy były, bo do akt nie zaglądałem nigdy. Po pierwszej rozprawie, to znaczy do przerwy, bo było kilkanaście przerw. Rozprawa moja ciągnęła się od rana do godziny 20-tej wieczorem, wyrok został odczytany dopiero. Tylko moja i mojego zwierzchnika. Zwierzchnikowi od razu wszystkie przywileje przywrócono i on jakoby już był wolny, już nie był pytany. Siedział na ławie oskarżonych co prawda, ale nie był pytany już. Ja tylko byłem. Za mnie adwokat postawił w ten sposób do sądu - proszę wysokiego sądu, ten człowiek, jak mógł milicjant go nazwać bandytą i hitlerowcem. "Ten człowiek walczył u progu naszej Ojczyzny na Westerplatte, zasłużony jest człowiek, na krzyż Virtuti Militari. I tak go poniewierać i bić go. Prosił sądzie go, żeby na to zwrócił uwagę. Rzeczywiście sąd to podkreślił później przy wyroku. W końcu ta rozprawa nabrała takiego rozmachu, że ci milicjanci zaczęli zeznawać, ale bardzo poniżając sąd, to znaczy odwracali się do sądu tyłem, to sędzia mówi - x proszę stanąć jak potrzeba przed sądem, a oni arogancko do sądu zachowywali się. Więc sąd powiedział, nie dziwię się, że wyście tak z oskarżonym postąpili jak wy i sąd lekceważycie w tej chwili. I wtenczas ta sprawa została wygrana po mojej stronie, tak jak i mojego zwierzchnika. Zostaliśmy uniewinnieni.

Sąd postanowił, że w miejscu pracy mają nam zapłacić za ten okres kiedyśmy byli zatrzymani. Jutro rano nie macie prawa trzymać oskarżonych. Jutro o godz. tej i tej, kiedy idzie pociąg do Bartoszyca, proszę zawieźć ich i tam ich rozliczyć i od razu zwolnić. Dzisiaj mają prawo spotkać się z rodziną i mają prawo przyjąć wszystko co im przywieziono, czy to kiełbasa, bo dla więźnia nie dawano się kiełbasy, kurczaka nie, bo to są luksusy. I dlatego już mi rodzice podali smażoną kurę, jego żona jemu. I już mieliśmy libację, razem nas posadzono. Po zwolnieniu z więzienia, podpisuję co ja miałem, oddają mi moje rzeczy, listy stare, obsadki. Pieniądzy niema tylko dr bne. J, mówię, gdzie pieniądze? Tutaj nie ma na wykazie, to nam nie przekazali do więzienia. Więc pieniądze zostały ukradzione przez nich. Nawet część państwowych miałem do wypłaty pracownikom i także to zginęło. A teraz nie wydają mi znów legitymacji moich odznaczeń i nie dają mi książeczki wojskowej. Proszę zobaczyć, na wykazie nie ma, to do więzienia nie przyszło. Proszę się zwrócić tam, gdzie was aresztowali.

5A

Po zwolnieniu z więzienia przyjechałem do Lidzberka Warmińskiego i zwróciłem się do szefa bezpieczeństwa, nie pamiętam jego nazwiska, to jakiś kapitan był wtenczas. Musiałem przy drzwiach stać, bo niemożliwo było nawet kroku zrobić do jego biurka. Siedział za biurkiem jak buc nastawiony i przyglądał mi się. Co chcecie, do mnie się zwraca. Powiadam, że wyście mnie zabrali przy aresztowaniu dokumenty i ja tych dokumentów nie otrzymałem. -A jakich nie macie. Książki wojskowej. -Jest. Otwiera szufladę, wyrzuca, bierzcie. Ja nie podchodzę i nie biorę. Ciepła książka brązową okładkę miała, a tu jest czarna. -Wyście już wzrok stracili w tym więzieniu, zobaczcie że to jest wasza książka. Wziąłem do ręki, myślę, czyby ona na czarno się zrobiła. Patrzę, mnie z podporucznika zrobili na sierżanta, a więc zrobili mi podporucznikowską książkę. Oficerska miała okładki

brązowo, natomiast ta miała czarne. -podoficerska. Poplątali, napisali, że ja sierżantem już byłem na Westerplatte, a tak nie było. Wszystko pokręcone, inaczej. O Armii Krajowej też tam napisane nie tak. Poranienie moje wykreślone, odznaczenia nie wpisane. No i musiałem tę książeczkę przyjąć, co miałem zrobić. Kiedy powiedziałem o odznaczeniach, to powiedział, Wyście do kraju jak przyjechaliście, byliście zobowiązani reaktywować te swoje odznaczenia. A wyście tego nie dokonali. Odznaczenia były wystawione na wasz pseudonim Kotwica, a nie na wasze nazwisko. Nie macie prawa tego nosić. To ja mogę na pamiątkę zatrzymać. - Teraz już wy nie dostaniecie tego. A zresztą przyjdziecie za dwa dni, zobaczymy, może jeszcze otrzymacie. Ale ja uważam, że prędzej wy tu zgnijecie w tej piwnicy, jak to otrzymacie. Pokazał, że pod podłogą jest ta piwnica. Wyszedłem. Dopędził mnie jakiś oficer też z Bezpieczeństwa, bo oni chodzili w mundurach i mijając mnie, nie zatrzymując się, powiedział - proszę pana, nie radzę panu przyjść, bo szef może z panem tak postąpić rzeczywiście. A tamten jeszcze tak do mnie mówił - ty gówniarzu, wszczęłeś ci syfilisa i tam zgnijesz w tej piwnicy. Taka była wielka władza, że człowiek był naprawdę bezładny. Zabrałem się i odszedłem i do dnia dzisiejszego, kiedy nie mam tych odznaczeń. Ale kiedy Gomułka doszedł do władzy i później odwilż nastąpiła czyli Październik, zwróciłem się do Gomułki pisemnie. Napisałem, że nie zwrócono mi odznaczeń bojowych. Nie odpisał mi nikt. Drugie ponowiłem, nie odpisano. Napisałem do Rady Państwa wówczas, nie odpisano mi. Teraz napisałem w okresie stanu wojennego do Jaruzelskiego. Szczerze napisałem - pragnę do pana generała napisać jak żołnierz do żołnierza. Uważam, że pan mnie chyba jedynie zrozumie. I opisałem te sprawy jak mi legitymację zabrano i przerobiono mi stopień.itd. Odpowiedziała jakaś sekretarka pana Jaruzelskiego w ten sposób - może obywatel być odznaczony krzyżem Virtuti Militari, ale musi na obywatela wystąpić Centralny Zarząd Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Jak ja ich zmuszę wobec tego, żeby oni wystąpili w mojej obronie. Nie pisze, że będzie wrócony, tylko że otrzymać mogą nowy. I dalej - może być obywatelowi nadany stopień podporucznika, ale musi wystąpić WKU wojewódzkie. Jak ich mogę zmusić, żeby oni wystąpili? I pozostałem do dzisiaj ogołocony, co mi bardzo ciężko o tym wspominać. Jak jestem gdzieś w towarzystwie i ktoś mówi - pan jest westerplateczykiem. No tak. A dlaczego pan nie ma krzyża Virtuti Militari, przecież wszystkim nadali. Nie jest prawdą, że wszystkim nadali. 3 września nadał marszałek Świąży Rydz dr gą radiową, ale wszyscy nie otrzymali, po wojnie nie wszystkim chcieli nadać. Tym bardziej że myśmy byli w świecie. Nadali tym, którzy znaleźli się /w kraju/ w roku 45, a ja jeszcze w tym czasie siedziałem w Związku Radzieckim. A u nas taka brzyśka zasada jest, że do tyłu nie chcą realizować. Dzisiaj z Anglii przyszło mojemu znajomemu, który walczył na Monte Cassino, teraz dopiero ~~gwałtownie~~ przysłały odznaczenia. Chcę skończyć jeszcze opowiadanie o Zosi, która uciekała ze mną razem z niemieckiej niewoli. Było w ten sposób, że po pobycie u mnie w domu kilka dni zaledwie, chciałem nawiązać kontakt i sprawdzić czy Zosia rzeczywiście dotarła do domu. Bo przecież z mojego poprzedniego opowiadania wynika, że rozstaliśmy się tuż za granicą pruską w Wołkowyczkach. Zosia mieszkała i mi podała adres, że mieszka w Osienikach, tylko nie pamiętam czy Osieniki pierwsze czy drugie, gdyż to były dwie wsie obok siebie. Blisko w każdym razie Wilna. Pojechałem tam. Od mojej miejscowości, gdzie byli rodzice, było ok. 40 km. Nie było to zbyt bezpieczne, ale wyruszyłem rowerem. Przyjechałem do Osienik, trafiłem do jej domu i znalazłem tylko jej matkę starszą. Spytałem o Zosię. Powiedziała, że ona nic nie wie, jak wyjechała na roboty do Niemiec, to do dziś nic o niej nie wie. Zażenowałem się tym, myślałem, może nie doszła, może zginęła. Ale postanowiłem starszą postraszyc. - Proszę pani, wiem doskonale, że ona uciekła z Niemiec, uciekała razem ze mną i być może o tym powie-

działała. Jedną rzecz, ona ukradła od Niemców wiele pończoch nylonowych. Jeżeli pani mi nie powie, gdzie się znajduje Zosia, to pójdę zamelduję o niej, że ona tu jest i ją aresztują. Staruszka na to ona poszła do swojej cioci do wioski położonej około Ławaryszek. Dotarłem tam. W domu jej cioteczni bracia byli, pytałem, czy Zosia tu jest. Powiedziano mi, że nie ma. A Zosia rzeczywiście była lecz schowała się. Wracam do domu. Rower wyprowadzają z ich podwórka, gdy dochodzi jakaś starsza pani - jej ciocia i pyta, czy jestem tym który przeprowadził Zosię przez granicę. To ja. Proszę wracać - ona. To cholera się znajdzie. Wrócikiem. Przygotowano kolację. - Pan będzie tu nocować, a Zosia będzie w tym pokoju, niech pan pójdzie później do niej i porozmawia. Ale przedtem nie pan wykupi ją dobrze w mordę - tak powiedziała po wileńsku. Więcownie ona im wszystkim opowiadała co zaszło. Wszedłem do Zosi, nie chciałem jej bić, bo cóż, jak to wygląda kobietę bić. Rzeczywiście ona się upokorzyła, zaczęła płakać, powiedziała, że to diabeł jej tak podszeptał, żeby naskąła tych niliejantów. Nie była pewna czy mnie zabiją czy tylko aresztują. Postanowiłem jej przebaczyć. Tylko zabrałem od niej swoje rzeczy i wrócikiem do domu. Ale zawsze jakoś mi w sercu pozostała pamięć o niej, ^{nawet myślałem, że pobierzemy się w przyszłości.} Gdy przyjechałem drugi raz, dowiedziałem się od jej krewnych, że ona pochodzi z rodziny bandyckiej. Jej ojciec był bandytą przed wojną i napadał na drogach na ludzi wracających z bazarów z młynów i uśmiercał wielu ludzi. Uważam, że ona odziedziczyła po swoim ojczulku nawyki złodziejskie. Pewnego razu koło Kotkówki zrobił on napad w lesie na wracającego onkowieka, ale tam już była zasadzka, ponieważ policja wiedziała, że ten złodziej tylko w tym rejonie grasuje. Został wtedy zastrzelony przez policję podczas ucieczki. Wracałem do niej kilka razy. Ale te warunki zawsze jakie gorsze były, bo zawsze ona iraczej. Nawet powiedziała, już byłem w partyzantce, nawet jej się zwierzyłem, może niepotrzebnie - ja z bandytą nie chcę mieć nic do czynienia. Chcę mieć urzędnika, za którego wyjdę za mąż, bo takiego tu mam.

, który pracuje tam, gdzie ona przebywała, z pochodzenia Niemiec, ale urodzony na Litwie. Zajmuje wielkie stanowisko, jest od niej starszy chyba o 40 lat. Ona i na to się godzi byle mieć męża urzędnika i to bogatego. Odjechałem. Później, kiedy przybyłem do oddziału, ktoś jednak wiedział o tych moich ruchach w tamtych kierunkach, choć o tym nie mówiłem. Pan Pohorecki wezwał mnie do siebie i spytał, czy nie znam tych terenów koło Kotłówki itd. Nie mogłem kłamać i powiedziałem, że tam mam znajomą Zofię Czerniawską, z którą uciekłem z niewoli i z nią utrzymuję kontakt. Ale chyba przestanę, bo ona za mąż chce wyjść. To dobrze się składa, panie Kotwica, niech pan tam pojedzie jeszcze kilka razy, niech pan dobrze wyczuje jak można przyłapać tego właśnie Niemca. On bardzo jest szkodliwy dla Polaków. My musimy go mieć. Może nawet nie zniszczymy go, ale za niego naszych ludzi wyciągniemy z więzienia. Przyjeżdżałem tam coraz częściej, ale zawsze byłem jakoś odtrącany, wiedziałem że zgasła nasza miłość. Ostatnio już będąc u nich wiedziałem, że więcej nie mam potrzeby tam przyjeżdżać. Przekazałem dowódcy, że więcej tam nie pojedę, bo stosunki się popsuły całkowicie. On na to - jeszcze pan jeden raz pojedzie. Ja mu powiedziałem, że nawet wesele ma być blisko, bo już wiedziałem, kiedy to ma być. - Niech pan weźmie ze sobą ludzi i tam pojedzie. Pojechałem, rozpoczęło się już wesele. Miałem ze sobą obstawę 3 kolegów, dwóch braci Wróble i mojego plutonu i starszy podoficer. Wszyscy byliśmy po cywilnemu. Ale za sobą pozostawiliśmy grupę 2 żołnierzy 10-ciu uzbrojonych. Bo my tylko pistolety mieliśmy. Przyjechałem na to wesele, posadowiłem Boga, wchodząc do mieszkania, już było trochę gości, nie chcieli ze mną zapoznawać, co prawda lałem w paszczę lwa., bo już siedziako 3 Litwinów za stołem. Zająłem miejsce międzyokienne, żeby całą salę widzieć przed sobą. Moi koledzy usiedli od strony drzwi. Za chwilę przybyło i dwóch Niemców z pobliskiej bazy ochrony mostu. Wypiliśmy po kieliszku wódki, Zosia siedzi, trochę na mnie zerka, ten stary

dziadek siedzi obok niej. Widziałem, że krzywo na mnie patrzą i jej bracia cioteczni, ciocia i mogą mnie lada chwila wydać, więc trzeba się spieszyć. Nasza grupa bojowa pozostała niedaleko i umówiliśmy się, że jeżeli nie będzie strażaków, będzie cicho, to natychmiast nie przyjdą, okrążą ten budynek. Kiedy zobaczyłem pod oknami ludzi moich, to wtedy wstałem i po niemiecku - ręce do góry. Broń oni ustawili w jednym kącie - i Niemcy i Litwini. Wszystkich ułożyło się na podłogę, tego dziadka się zabrano, skrepowano. Tych rozbrać do naga ubrać się w litewskie mundury dla części mojej obstawy i dwóch ubrało się w niemieckie mundury. Nie zabijaliśmy, nie było potrzeby. Tylko zapowiedziałem, że nikt nie ma prawa wyjść z domu do trzech godzin, bo zostanie zastrzelony. W tego Niemca waliśmy jeszcze wódkę sporo i kazaliśmy mu śpiewać. Wzięliśmy sanki z podwórka i wjechaliśmy pod tę bazę. Mała to była baza koło Ławaryszek, pilnująca mostu. Wpadliśmy do tej bazy, ten śpiewał cały czas, tu siedzą koledzy w litewskich mundurach tak, że to nie było podejrzane. I udało mi się tę placówkę jeszcze zdobyć. Zniszczyło się wielu Niemców, nabraliśmy wiele konserw, umundurowania, broni, amunicji. Za to dostałem ten drugi Krzyż Walecznych. Z tego Niemca zostało wymienionych aż czterech naszych ludzi. A później został zabity przez inną grupę naszych żołnierzy, dowiedziałem się o tym, ale sam w tym nie brałem udziału. Zosia nie wyszła za mąż, bo przecież zabraliśmy jej małżonka przyszłego. Od tamtej chwili nigdy z Zosią się nie widziałem. Tylko w tamtym momencie jeszcze kazałem jej, może trochę brutalnie, zazdrość powodowałaż moja męska, kazałem jej dać na pamiątkę 10 szampo, tych wykręconych drutów z karabina i obciąć pokowę włosów za sprzyjanie okupantowi.

Przypomniałem sobie inną akcję.

Przyjeżdżałem w swoje tereny, tam gdzie rodzina była i z obstawą żołnierzy a często i sam. Bliskie stosunki wiązały mnie z Krakówką, miejscowością niedaleko Oszmiany. Tam przy lesie mieszkał na kolonii

Jadziło/?, człowiek który miał daną mu przez Niemców broń. Ja miałem polecenie częste utrzymywać z nim stosunki i dowiedzieć się co on z tą bronią robi. Podobno Niemcy po to mu dali polski nasz karabin Mauser, że on pilnował lasu. Tak później się on tłumaczył. Ten karabin miał głęboko schowany. Kiedy przyjeżdżałem, nigdy go nie widziałem. Kiedy ostatni raz przyjechałem, pomyślałem, że nawiążę z nim rozmowę, będę go przestrzegać, żeby on to zwrócił, bo może mieć później bardzo smutne konsekwencje. A my jemu pokwitujemy tę broń. Nie biorąc ze sobą obstawy, która została w pobliżu Krakówki w lesie, na wypoczynku. Powiedziałem, chłopcy, ja pojedę tutaj blisko, gdyby się okazały jakieś strzały, to wtenczas przyjdźcie mi z pomocą. To nie było zbyt daleko, najwyżej 400-500 m. Przyjechałem konno, wodze rzuciłem za sztachety i wchodzę, byłem spokojny, zawsze tam nikogo nie było. A w tej chwili wyskakują od domu trzech Litwinów z bronią gotową do strzału/tej policji litewskiej/ i dwóch Niemców z żandarmerii niemieckiej z Oszmiany. Handed koch-krzyczą do mnie. Podnoszę ręce, ale kabura była odpięta i wyrzuciłem do śniegu. Natomiast kołnierz był bardzo grubo śniegu. Zaraz wzięli ci Litwini grabie. Grąbli, deptali, ale jeszcze bardziej zadeptali. Broni nie znaleźli, bo śnieg był puszysty i pistolet zapadł w nawianą zaspę głęboko. Pytają Niemcy, co ja wyrzuciłem. Powiedziałem, że moją pamiętną broń, żeby was nie oddać. A kto ja jestem? Powiedziałem, że jestem z pochodzenia Niemcem litewskim. Byłem właśnie w Niemcach, kiedy moja rodzina została przez nich zniszczona całkowicie, to znaczy oddana w ręce komunistom. To nie była prawda, ale to był mój wybieg. Je chcąc się mścić na nich nie mogłem z wami być w porozumieniu, ponieważ oni są kolaborantami waszymi. Wy wspólnie akcje robicie, to byście mi nie pozwolili. Chciałem na własną rękę ich ścigać i dowiedzieć się, którzy to zrobili i po prostu zabić go. Nie powiem, że mnie krzywda jakaś się stała. Byłem w kożuszkach, pasem opasany. Konia mi zabrali, kazali na wóz siadać. Siadłem na sanie, z tyłu i przodu otoczony, wiozą

mnie do więzienia oszmiańskiego. W oszmiańskim więzieniu wpuścili mnie do jednej, na parterze tego więzienia, sali dużej, gdzie masa była ludzi. Na pryczach trzeba było w poprzek spać, bo inaczej nie można było. Prycze były gołe, bez żadnych poskai, sienników, tylko deski. I to były piętrowe prycze. Starszy tej celi

5B

nazywał się Żelizauskas, jak mi się przedstawił, ale właściwie, powiedział mi po cichu że jest synem generała Żeligowskiego, znanego na terenie Wileńszczyzny, najwłodszym synem. Z wykształcenia jest inżynierem leśnikiem. Uwierzyłem mu, choć nie wiem czy mówił prawdę. Ale mi sprzyjał, gościnnie mnie przyjął w tej celi. I kawałek chleba mi dane i woda się znalazła. I bardzo ze mną mocno dyskutował. Usłyszałem zaraz krzyki, kogoś biją. A to była ceka naprzeciw korytarza bo moja była na prawo. Za tymi drzwiami było dobrze słychać. Pytałem Żeligowskiego, co to znaczy. On powiedział, że tam siedzi żołnierz rosyjski, ślapany z partyzantki, przesłuchiwany zapewne. Siedzę jeden dzień drugi, wieszcie nam spotkanie z rodzicami. Ale rodzice już przedtem byli nastawieni, że nie będą przyznawać się, że jestem ich synem, tylko będą mówić, że byli pracownikami u moich rodziców Niemców, a teraz chcą mi pomóc i coś podać. Wówczas dokumentów prawie nie nosiło. Za czasów niemieckich ci wlejszy ludzie nie mieli żadnych dokumentów. Matka przyniosła mi trochę wędlin, ażeby mi wyjaśnić z tego partyzanckiego wyglądu, jak również dużo jedzenia i bimber, chyba ze 3 litry. Kiedy mnie zawołano do wartowni, tam sami Litwini obsługiwali te wartownie przy bramie. Tam oddałem matce kuszki i inne niepotrzebne rzeczy, a wziąłem jesionkę. Kiedy ją wkładałem, wycochałem się z kieszeni/oni nie robili rewizji, to jest tak błąd wielki/cieżar pistoletu. Gdy to był pistolet, w domu był. Teraz leżak w górnej kieszeni mojej jesionki. Matka nie wiedziała, że byłaby go wyłapała. A tak matka barażała się, będyby Niemcy rewizję w drodze zrobili, jak ona i znalazłoby pisto

let, to matka śmierć poniosłaby. Wódkę matka dała Litwinom i jedzenia też, czyli jakoby oni ze mną się zaprzyjaźnili. Zaczęli pić. Tam pracował Polak jeden jako strażnik więzienny, wielu Polaków pracowało tam między Litwinami jako strażnicy. On przyszedł pod nasze drzwi, już kiedy ja te rzeczy przyniosłem i chyba podsłuchiwał. Myśmy tam zaczęli śpiewać piosenki wojskowe z tym Żeligowskim, jedliśmy to co przyniosłem. I ja jemu zwierzyłem się, że mam pistolet. Tylko on poprosił, żebym mu ten pistolet dał, bo będzie mu bardzo potrzebny. Siedząc tam ok. tygodnia, zaprzyjaźniłem się już z wieloma, m.in. z plutonowym Rozwadowskim, zawodowym podoficerem spod Oszmiany. I ten polski strażnik w pewnym momencie otworzył drzwi i powiedział - zamknijcie drzwi. Ja może chciałem się pokazać przed współwięźniami, bo tam było ponad 40 osób, i powiedziałem, że człowiek nie ma dzioba tylko usta, niech liczy się, bo możemy go w gębę strzelić. On zamknął drzwi i za jakieś 15 minut przyszło czterech - 3 Litwinów i on. Między nimi był Litwin Marcin, znany na tym terenie z pijaństwa strażnik więzienny. Kazali mi wychodzić. Wychodzę, a starszy celi taki miał obowiązek, że zawsze musiał być przy samych drzwiach, więc do mnie mrugnął, że gdyby mnie bili, to on mi pomoże, wyskoczy. Nie uderzyli mnie, zaprowadzili do karceru naprzeciwko i tam mnie zamknęli. Było to zwykłe pomieszczenie, małe bardzo, na środku z desek zrobione miejsce do spania, jak trumna i mały taboret przykręcony do podłogi. Skoczyłem obcasami i przełamałem deskę na środku i zrobiłem się w tej trumnie dziura i tam chowałem pod deski to, co ktoś mi podał. Bo nie wolno mi było podać jedzenia a miał przyjść do mnie żandarm wezwany, bo ja z nimi po niemiecku szwargotałem, mówiąc że jestem Niemiec i chcę z Niemcem rozmawiać. I może dlatego mnie nie bili. Rzeczywiście przyszedł żandarm, porozmawiał ze mną, grzecznie. Ja mu nakłamałem jeszcze więcej, bo w celi miałem dużo czasu do myślenia. Powiedziałem, że zamknęli mnie za to, że ja po niemiecku mówię. Kto to mówił? Wskazałem na Mar-

cina, bo akurat Marcin zadark ze mną wtenczas najbardziej. Przypro-
wadził Marcina, na moich oczach trzepnął go w głowę i ze mną się po-
żegnał. Dla wszystkich z mojej celi była wówczas komisja lekarska,
natomiast ~~matk~~ dla mnie nie. Nie wiem dlaczego. Przypadek ranek
niedzielny, myśmy z /Żeligowskim?/ szykowali się do ucieczki, chcie-
liśmy uwolnić całe więzienie, to znaczy Rozwadowski, ja i Żelizaus-
kas. Ale ten ostatni, jakoś do tego nie dochodziło, nie wiem dla-
czego. I już przyszła niedziela, wszystkich na plac wywożali, do
bramy doprowadzono. Pod bramę podjeżdżały tyłem samochody brezentem
okryte i tam nas ładowano. Nie wiem, ilu załadowano, ale chyba było
6 czy 7 samochodów ciężarowych. Mój pistolet pozostał u Żeligowski-
go, nie mogłem i nie chciałem już zabrać tego pistoletu. Żelizauska
ch dził często na miasto, wypuszczali go. Zakatwiał różne sprawy,
mimo że miał karę śmierci. Wyrok nie był wykonywany i on był za-
luźny. Z jednej strony podejrzewałem go, że może być kimś, pracować
ale d wiedziałem się później, że naczelnik więzienia był jego blis-
kim krewnym i z tego powodu osłaniał go i odsuwał na daleko, żeby
nie wykonać wyroku. Później poznałem go już w Miednikach, ~~ki~~
był żołnierzem i miał stopień sierżanta. Nie rozmawiałem z nim
wówczas. Jego znajomi mieszkający obecnie w Gdańsku, spotykam się
z nimi, a przede wszystkim z tą która mieszka w Łodzi, panią, która
mówiła że to szuja, rzeczywiście Litwin, ale w końcu jak już nie
było gdzie to poszedł do partyzantki. Ale ja tych spraw dokładnie
nie znam. Samochody ruszają spod więzienia. We wszystkich jakby na
komendę zaśpiewano Serdeczna Matko. I ja z nimi śpiewałem. Osłona
nie była duża, można było uciekać. Z tyłu dwóch Niemców, w szoferce
szofer i jeszcze jeden Niemiec uzbrojony. Zwykli żołnierze z Wer-
machtu. Wielu z nas miało noże, bo rewizji nie robili. Wieźli nas
w kierunku Wilna. W Wilnie osadzono nas w byłym klasztorze naprzec-
ko kościoła św. Jana przy ul. Świętojańskiej. Sale były bardzo duże
i nikogo nie zamykali do poszczególnych sal. Wszystko było otwarte

aż do drzwi wyjściowych. Po korytarzu można było spacerować, do innych sal zachodzić. A w tych salach wszędzie spało się na podłodze. To nie było więzienie tylko miejsce tymczasowego zatrzymania. Poznaliśmy tam wielu ludzi, a przede wszystkim jedną Litwinkę, która mi sprzyjała. Matka przynosiła jej jedzenie i stale z nią jadałem razem. Tylko w nocy nie można było spać razem. Można było siedzieć, ale broń Boże nie spać. Natomiast rodziny i z dziećmi razem będące spały razem. Patrol Litwinów chodził od sali do sali, rodzin nie ruszali, a chłopaka czy dziewczynę rozpedzali. Na noc trzeba było zostawać w męskim. Nie było ciszy nocnej, można było całą noc siedzieć na oknie i rozmawiać. Zauważyłem, że tam była masa Cyganów i masa, może 1/3 a nawet 1/2 Żydów z rodzinami. Nie przypuszczałem wtenczas, jeszcze nie dotarło do moich uszu, że jest jakiś Oświęcim. To był rok 1943, grudzień. Właśnie w tym okresie wywołali nas na plac, było nas 1500 osób razem z dziećmi. Zbrali nas wówczas na stację towarową, gdzie chcieli nas załadować do pociągu. Mnie ta właśnie dziewczyna Litwinka powiedziała - dla ciebie Wiktor jest przygotowana ucieczka. Jak Wielką ulicą będą prowadzić. Ona pozostała w tym więzieniu. Jak ciebie będą prowadzić, to uciekaj w tę stronę naprzeciw, jak się minie cerkiewkę. Tam mnie mieli przejąć i wszystko byłoby w porządku. Ale w następnej czwórce wyrwa się przede mną jakiś chłopiec. Strasznie go sbili. Okrażeni byliśmy przeważnie przez Litwinów, przez własowców i przez białoruską policję. Niemców nie było wielu. Ale takie mieli w rękach kije grubości ręki z sękami i nimi okładali. Przestraszyłem się, kiedy pobili tego chłopca. Prowadzili nas w kierunku Ostrej Bramy i dochodząc do Ostrej Bramy właśnie już do niej podchodzić, a akurat była tam msza św., ksiądz odwrócił się. ~~Wszystkich wziętych wziętych wziętych wziętych~~ Cały nasz szereg zaczął żegnać. Już pod samą bramą spytałem się /nie wiem czy słowami czy tyłką w myślach/ -Matko Boża czy mam tu uciekać? I posłyszałem, do dzisiaj ten pamiętny głos we mnie tkwi,

piękny, melodyjny, kobiecy głos, cichy, spokojny - jeszcze masz czas synu, dam ci znać. I z tą nadzieją poszedłem. Poszedłem za druty, którymi był ogrodzony plac przy stacji towarowej. Tam usiedliśmy na śniegu. Ja spacerowałem w brązowej jesionce, bez czapki, walizeczkę małą mam w ręku, a w niej przybory do golenia i kawałek chleba. Było mi smutno, kiedy wiedziałem, że ludzie otoczyli swych krewnych nieszczęśliwych, którzy jadą w nieznane. Podają im przez płot i wynieniają kożuchy, inne rzeczy, podają żywność. Niemcy nie reagowali. Załadowano nas do wagonów, ale nie towarowych, tylko zwyczajnych. Nie wiem jak się nazywają te wagony, zawsze nisko jedna deska biegła jakby stopień. Normalne okna, a nad drzwiami było okno spuszczone na pasie parciowym. Ale od środka były wymontowane klanki i nie było żadnych siedzeń. Przypuszczałem, że te wagony musiały iść na front z żołnierzami, a później wracały i zabierały więźniów. I może ci sami, którzy wieźli żołnierzy teraz wieźli nas. Zauważyłem, że nie bardzo nas pilnowali, nie dokuczali więźniom. Jeszcze w Wilnie chodzili po wagonach i szukali osób, które znały niemiecki. Występowali Żydzi, bo ich było wielu, ale Jude nie przyjmowali. Stałem w wagonie, trzeba było stać bo po 80 osób ładowali, wtedy Rozwadowski namówił mnie bym się zgłosił. Kazali mi powiedzieć wszystkim, że będą chleb otrzymywać w Grodnie i kawę. Ale między sobą mówią, że tam podstawione będą wagony ku wagon/?/ i tam będą wszyscy przeładowani. Pytam, czy oni po polsku rozumieją - a jeden z nich powie, ja rozumiem "panienka" i "perdolić" i widzę, że on więcej nie zna. Jedziemy, przejeżdżamy przez Ponary. Już zaczynają z niektórych wagonów wychodzić, dziewczyny wyskakują. Nie strzelają za nikim. Jakaś to była grupa nadzwyczajna, która nas wiozła. Pociąg sunął bardzo powoli, nie wiem dlaczego. Później, po pewnym okresie dowiedziałem się, że maszynista był Polakiem i robił to celowo, żeby ludzie uciekali. Dojechaliśmy już do Landwarowa, ok. 18 km od Wilna. Tam znów pociąg się zatrzymał.

Ale już wiedziałem, że w Grodnie będziemy jechać w lewo, bo w Landwarowie tory się rozwidlają. Prosto idą tory w kierunku Kowna, a w lewo do Grodna. Staliśmy przed tym rozwidleniem. Już ruszyliśmy. Ja myślę, próbuję. Pociągnąłem za pas, okno podniosło się, teraz sprawdzam, czy klanka na zewnątrz jest zamykana. Naciskam, klanka otwiera się. A za mną był już wagon obsługi konwojowej. Właśnie przez okno wygląda taki sierżant niemiecki - uciekaj, mówi do mnie po niemiecku. A ja - nie zastrzelisz ty mnie? - Będziemy patrzeć w przeciwną stronę. Otworzyłem drzwi, tylko patrzyłem na słupy i na kamienie i skoczki. Na tej walizeczce, którą trzymałem w ręku zjechałem może ok. 20 albo więcej m po śniegu. Nic mi się nie stało, tylko koszula na małe popękła. Za mną uciekło z tego wagonu ok. 40 osób. Niemcy strzelali już później, ale muszę stwierdzić, że nikogo nie zabili. Tylko hałas robili. Pociąg jechał powoli, to był zakręt. Dalej już był las. Ze wszystkich wagonów ludzie uciekali. Ale między innymi jak chodziłem z nimi/Niemcami/ to pytał się jeden drugiego, jeszcze w Landwarowie, o której godzinie będzie ten transport w Birkenau. Nie wiedziałem, że Birkenau to Oświęcim, myślałem że to gdzieś w Niemczech, i na roboty nas wiozą. Jedynie trochę naprowadzało mnie to, że Cyganów i Żydów wiozą. I tu muszę dodać, że mnie Matka Boża przez wroga podała...